



FLORA SINCLAIR



*Wielka przemiana
doktor Anderson*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nie jest z nim dobrze, pani doktor.

Doktor Beth Anderson sama to widziała. Wystarczyło rzucić okiem na pacjenta, by zrozumieć, że jest w bardzo złym stanie.

- Barry, mógłbyś na chwilę podejść? Chciałabym z tobą porozmawiać.

Barry Miller sekundę się wahał, jakby brał pod uwagę taką możliwość, potem jednak ponownie zamknął się w sobie.

- Barry...

Odpowiedziało jej milczenie. Młody człowiek stał w kącie pokoju odwrócony do nich tyłem, jednostajnym ruchem stukając nogą w listwę podłogową. Za każdym uderzeniem ciężkiego buta kawałek drewna odłupywał się i spadał na podłogę.

Gotów rozwalić ścianę, pomyślała Beth i odwróciła się ku pani Miller.

- Proszę mi powiedzieć, jak do tego doszło.

Pani Miller ruchem głowy wskazała jej korytarz. Z pewnością wolałaby rozmowę z lekarką odbyć w cztery oczy, a nie w obecności syna, Beth wiedziała jednak, że w takim stadium choroby psychicznej pacjent może nabrać podejrzeń, że coś przeciwko niemu „knują”.

- Porozmawiam teraz z twoją matką, Barry. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Kopanie w ścianę nieco osłabło i zrozumiała, że postąpiła słusznie. Barry był w złym stanie psychicznym, ale miał świadomość tego, co się wokół niego dzieje.

Beth usiadła tak, żeby móc widzieć pacjenta; pani Miller również nie spuszczała wzroku z syna.

- Nie wiem, od czego zacząć, pani doktor.

- Zacznijmy od początku. Barry opuścił szpital pół roku temu, prawda?

Zapytała o rzecz oczywistą, żeby pani Miller łatwiej było zacząć relację.

- Tak, wypisali go sześć miesięcy temu; był tam dość długo, na obserwacji i leczeniu. Barry to dobry chłopak, tylko jak... gorzej się czuje, to robi się... trochę gwałtowny...

- Jak się zachowywał po powrocie ze szpitala?

- Bardzo dobrze, prawie jak przed chorobą. Brał te leki, które mu przepisali, i wszystko było w porządku. To znaczy tak, jak jeszcze nigdy, odkąd zaczął chorować.

- Chodził do szpitala na zastrzyki?

- Tak, raz na dwa tygodnie zgłaszał się na oddział. Nieraz z nim chodziłam, ale to nie było potrzebne. Doskonale się rozumieli z siostrą Michaelą, naprawdę ją polubił, ona jego też. Zawsze mu wszystko tłumaczyła i miał do niej zaufanie.

- O co w takim razie chodzi?

- Siostra Michaela poszła na urlop macierzyński i Barry bardzo się przejął. Nie lubi zmian. Nie polubił tej nowej pielęgniarki, stale tylko mówił o siostrze Michaeli i jej dziecku. Poszedł nawet kupić dla niego zabawkę... Wtedy przyszło mu do głowy, że on nie ma nikogo, żadnej dziewczyny. Powiedział, że chciałby się ożenić i mieć rodzinę, ale przecież nikt nie zechce bezrobotnego faceta, ze schizofrenią na dodatek. Mówił, że nie ma żadnej przyszłości i że to koniec. Wie pani doktor, jak to jest. Potem było już tylko coraz gorzej.

- To znaczy?

- W ogóle przestał wychodzić, nawet po papierosy, tylko siedział i patrzył w ścianę. Czasem oglądał telewizję, ale tak jakby nic nie widział. Opuścił nawet wizytę w klinice, przestał chodzić na zastrzyki.

Ostatnia wiadomość zaniepokoiła Beth.

- Jak długo to trwa?

- Prawie dwa miesiące. - Pani Miller szybko obliczyła. - Tak, już ze dwa miesiące.

- Coś pani próbowała robić?

- Mówiłam mu, że powinien tam iść, ale kiedy jest w takim stanie, nic do niego nie dociera. Ojciec też próbował mu przetłumaczyć, ale tylko wszystko popsuł. Wybuchła awantura.

- A potem?

- Zadzwoiłam do szpitala, rozmawiałam z jakąś pielęgniarką. Nie pamiętam, jak się nazywa, ale nie była zbyt miła. Powiedziała, że nie będzie ze mną rozmawiać, a Barry musi się natychmiast zgłosić na zastrzyk.

- Brał w tym czasie jakieś inne leki?

Domyślała się już dalszego ciągu i chciała jak najszybciej przejść do sedna sprawy.

Pani Miller ze smutkiem pokręciła głową.

- Nie, i było coraz gorzej. Znowu zadzwoniłam do szpitala. Chciałam, żeby mnie połączyli z doktorem Hughesem, który opiekował się Barrym, ale go nie było. Prosiłam, żeby do mnie zadzwonił, ale...

- Ale nikt nie zadzwonił? Pani Miller skinęła głową.

- Myślałam, że sama tam pójdę, ale wtedy dostałam list od pani i postanowiłam poczekać.

List musiał dojść ponad tydzień temu; stan chorego w tym czasie mógł ulec znacznemu pogorszeniu.

- W takim razie wie pani, dlaczego tu jestem. - Beth spojrzała na nią i pani Miller odpowiedziała jej wzrokiem. - Przyjechałam zobaczyć Barry'ego. Po wypisaniu ze szpitala nadal pozostaje pod naszą opieką i w każdej chwili może do nas wrócić. Chcielibyśmy się zorientować, jak syn się czuje po tej półrocznej przerwie.

Wyjaśnienie było nieco uproszczone, ale miała nadzieję, że przez to bardziej zrozumiałe.

- Barry będzie musiał znowu iść do szpitala? - Głos pani Miller lekko zadrżał.

- Może tylko na krótko, jeszcze nie wiem. Zrobimy wszystko, żeby mu pomóc.

Zerknęła na tkwiącego pod ścianą młodego człowieka. Ciekawe, jaka część ich rozmowy do niego dotarła i jak zrozumiał to, co powiedziała.

- Barry... Słyszałeś, co mówiła twoja matka? Zgadzasz się z tym?

Nie odwrócił się, ale nerwowy ruch nogi nieco ustał.

- Możesz podejść i chwilę ze mną porozmawiać?

Beth wstała i ostrożnie ruszyła w jego stronę, starając się nie zrobić żadnego gwałtownego ruchu. Wiedziała z wywiadu, że Barry, kiedy miał nawrót choroby, reagował czasem w sposób nieoczekiwany i agresywny.

- Chodź, usiądziemy sobie i trochę pogawędzimy - rzekła łagodnym głosem, widząc jednocześnie, jak dłoń chorego zaciska się w pięść. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości, nie spuszczać z niego wzroku. - Barry... - powtórzyła.

- Ty dziwko! - Nagłym ruchem zwrócił ku niej wykrzywioną wściekłością twarz.

Nie spodziewała się tak gwałtownej reakcji, mimo że wiedziała, iż pacjent może wpaść w furję. Zawsze kiedy była świadkiem i uczestnikiem podobnej sceny, czuła dojmującą przykrość; wyzwiska raniły ją, mimo że tego nie okazywała. Przecież człowiek w takim stanie potraktowałby każdego, kto znalazłby się na jej miejscu, w taki sam sposób.

Ciekawe, swoją drogą, czy każdy psychiatra tak to przeżywa? Przez ułamek sekundy myślała o swym szefie; trudno sobie wyobrazić, by on przejął się czymkolwiek.

- Wynoś się stąd, dziwko! Zostaw mnie w spokoju!

Stała bez ruchu, starając się spokojnie ocenić grożące jej niebezpieczeństwo. Pani Miller krzyknęła coś niezrozumiale.

Zobaczyła, jak ramię chorego podnosi się i opada.

Ciekawe, do jakiego stopnia Barry się kontroluje. Teoretycznie powinien rozładować agresję na jakimś przedmiocie. Teoretycznie...

Barry jednym ruchem zmiotł z półki szereg porcelanowych filiżanek. Zupełnie jakby chciał obecnym przekazać stan swojego umysłu poprzez trzask tłuczonego szkła i odpryski szklanych skorup na podłodze. Przez chwilę panowała cisza; wszyscy troje w milczeniu patrzyli na dzieło zniszczenia. Potem Barry poruszył się znowu.

Wiedziała, że go nie powstrzyma, różnica siły fizycznej była zbyt duża. Wiedziała jednak również, że musi coś zrobić, by zapobiec dalszej destrukcji.

Barry runął ku szklanym drzwiom oddzielającym pokój od korytarza. Prysnęło szkło, ze zranionej ręki trysnęła krew. Beth jednym skokiem była przy nim. Mocno ucisnęła rękę w odpowiednim miejscu, żeby zatamować upływ krwi.

- Niech pani dzwoni na pogotowie - rzuciła przez ramię. - Mają zaraz przyjechać!

Pani Miller wybiegła z pokoju. Barry stał bez ruchu, jakby nagły wybuch doszczętnie go wyczerpał. Atak minął.

- Jak się czujesz?

Głos Beth był spokojny, odpowiedź pacjenta również.

- Okropnie.

Beth spojrzała na krew kapiącą z jego nadgarstka wprost na jej beżową spódnicę.

- Rozumiem.

- Co teraz będzie?

- Przede wszystkim zawieziemy cię na pogotowie, żeby ci zszyli rękę. Potem... będziesz chyba musiał znowu iść na jakiś czas do szpitala.

Po podobnym ataku wizyty na oddziale dziennym nie wchodziły już w rachubę. Doktor Hughes będzie musiał zatrzymać chorego i ponownie poddać go terapii na oddziale zamkniętym.

Pani Miller wróciła do pokoju.

- Już jadą.

Była jeszcze bardzo blada, ale szarość z jej twarzy z wolna ustępowała.

- Niech pani włoży płaszcz i weźmie torebkę, pojedzie pani z synem.

Trzeba go czymś okryć.

- A pani doktor z nami nie pojedzie? - W głosie matki Barry'ego zabrzmiało przerażenie.

- Oczywiście, że pojedę - uspokoiła ją Beth. - Porozmawiam z dyżurnym psychiatrą i wszystkiego dopilnuję.

Doktor Dominik Farquhar znowu usiadł za biurkiem, starając się nie zawadzić nogami o kosz na papiery. Odchylił głowę do tyłu i zaczął masować sobie kark. Zbyt długa praca przy komputerze zawsze go męczyła, a siedział nad papierami już od kilku godzin. Wyprostował ręce i poruszył palcami. Jeszcze pół godziny i zrobi sobie przerwę, a potem weźmie nową partię dokumentacji od Beth i wszystko uzupełni.

Na myśl o młodszej koleżance podniósł wzrok i lekko zmarszczył brwi. Jego surowa, opanowana twarz na chwilę zmieniła wyraz. Nieczęsto o niej myślał, ale w Beth było coś, co go frapowało. Niewątpliwie doktor Anderson jest świetnym psychiatrą. Pod względem inteligencji i możliwości umysłowych przewyższa większość swych kolegów. Rozumuje logicznie, sprawnie wyciąga wnioski; jej analizy są wnikliwe i dokładne, a konkluzje zazwyczaj słuszne. Ma też rzadką umiejętność dostrzegania istoty sprawy.

To wszystko wiedział, nie potrafił natomiast nic powiedzieć o Beth jako osobie. Czasem miała minę przestraszonego zwierzątka, a czasem zachowywała się tak, jakby jej w ogóle nie było. Pracowała bez zarzutu, a zachowywała się, jakby przepraszała za to, że żyje. Można ją było do woli obciążać dodatkowymi zleceniami, a ona bez słowa je wykonywała. Skrzywił się i lekko wzruszył ramionami. Nie najgorzej jest mieć kogoś takiego w zespole...

Jego siostra, która bynajmniej nie była psychiatrą, nie miała żadnych wątpliwości. Raz czy dwa wspomniał o Beth w jej obecności i od razu wyjaśniła mu, w czym problem. On, Dominik, ma wobec niej, Beth, poczucie winy. A ktoś taki jak doktor Farquhar nigdy się do tego wobec siebie nie przyzna.

Szczerze mówiąc, nie było to bardzo odległe od prawdy. Wykorzystywał Beth, jej zdolności, inteligencję, jej potulność i słaby charakter. Robiła wszystko bez słowa skargi i to właśnie mu w niej odpowiadało: Beth Anderson, pracownica w dawnym stylu, gorliwa i posłuszna, w skupieniu słuchająca słów szefa.

Jego siostra określiła to jako „męski szowinizm w najgorszym prostackim stylu” i dodała coś o „niereformowalności niektórych zachowań”. Wspomniała też o zmianach, jakie dostrzegła w zachowaniu brata w ciągu ostatnich kilku lat. Nie na darmo jego była żona nazywała go w rozmowach z dawnymi przyjaciółmi egoistą, arogantem i pracoholikiem, zżeranym przez nadmiernie wybujałe ambicje zawodowe. Ich małżeństwo trwało tak krótko i tak mało śladów po sobie zostawiło, że Dominik nieraz wątpił, czy naprawdę był kiedykolwiek żonaty.

Teraz jednak jego myśl skupiła się tylko na jednym: potrzebne mu są dane o pacjentach. Beth miała je przygotować, a Beth nie ma, i nie ma danych.

Zjawiała się dopiero po piątej. Umieszczenie Barry'ego na oddziale zajęło jej znacznie więcej czasu, niż się spodziewała. Początkowo zamierzała iść prosto do domu, ale postanowiła zajrzeć jeszcze do dokumentacji i na gorąco sporządzić opis niedawnego zajścia, zanim szczegóły uleczą jej z pamięci.

W szpitalu pani Miller opowiedziała jej, że kilka dni wcześniej Barry wytlukł wszystkie talerze w kuchni i że podobne wyczyny zdarzyły mu się już kilkakrotnie. Jego agresja była ukierunkowana zawsze na przedmioty; nigdy nikogo nie uderzył ani nie skrzywdził, z wyjątkiem samego siebie.

Beth usiadła przy komputerze i spojrzała na pusty ekran, zastanawiając się, od czego zacząć. Na szczęście nie miała tego dnia innych pacjentów.

Pamiętała, że ma dostarczyć szefowi jakieś wykazy, ale najpierw postanowiła zająć się przypadkiem Barry'ego.

Zerknęła na swoją poplamioną spódnicę. Właściwie powinna była po drodze zajść do domu i przebrać się. Poczowała, że łzy napływają jej do oczu; reakcja na popołudniowy stres dawała o sobie znać. Szkoda, że nie ma z kim porozmawiać, ale zarówno Sally, jak i Neil poszli już do domu. Został tylko szef, doktor Farquhar.

Wyobraziła sobie, jak wypłakuje mu się na ramieniu, i uśmiechnęła się smutno. O wszystkim oczywiście mu opowie, ale dopiero jutro, kiedy już się opanuje. Dynamicznego, stanowczego i pewnego siebie doktora Farquhara trudno było znieść nawet wtedy, gdy wszystko szło nieźle, a co dopiero, kiedy miała za sobą taki dzień jak ten...

- Gdzie się pani podziewała? - zapytał, stojąc jeszcze w drzwiach, ale nie czekał na odpowiedź. - Ma pani te dane, o które prosiłem?

Było oczywiste, że nie pozwoli jej czegokolwiek wyjaśnić.

- Nie, ja...

- Co?! - Niedowierzanie w jego głosie mieszało się z irytacją. - Dlaczego? Są mi potrzebne zaraz, natychmiast.

- Wiem, ale...

- Miała pani wszystko przygotować dziś po południu.

- Tak, ale...

- W takim razie proszę zrobić to teraz.

- Czy nie możemy z tym poczekać do jutra?

- Nie! To wykluczone! Mam dostać wszystko dziś. Nie zamierzam czekać tylko dlatego, że nie potrafi pani wykonać swojej pracy!

Odwrócił się gwałtownie; ostatnie słowa wymówił, podążając w stronę drzwi gniewnymi krokami.

Wiedziała, że nie ma co dyskutować. Doktor Farquhar był znakomitym psychiatrą i świetnie radził sobie z pacjentami i ich rodzinami, natomiast jego

stosunki z personelem i przełożonymi zawsze pozostawiały wiele do życzenia. Tak jakby cała cierpliwość i wyrozumiałość, wykazywana w kontaktach z chorymi, zamieniała się w gniewne zniecierpliwienie wraz ze zmianą rozmówcy. Beth wiedziała, że jest najmniej odpowiednią osobą, by móc coś zmienić. Całe jej życie było pasmem zmagania z poczuciem niższości. Stanowiła typowy przykład osoby wiecznie niedowartościowanej i nie wierzącej we własne siły. Rodzina zawsze utwierdzała ją w przekonaniu, że do niczego się nie nadaje, a wybór jej życiowej drogi jest po prostu nieporozumieniem. Była osobą bierną i łatwo się podporządkowywała.

Wiedziała, że w pracy niczego nie można jej zarzucić. Jest sprawna i kompetentna, co w niczym nie zmienia faktu, że kontakt z osobowością tak dominującą jak doktor Farquhar natychmiast zamienia ją w posłuszne narzędzie.

Pochyliła głowę i dotknęła palcami klawiatury komputera.

W dwie godziny później miała już za sobą większą część pracy i świadomość, że znowu została wykorzystana.

- Co za bydlę... - mruknęła pod nosem.

Przez pomyłkę potrąciła zły klawisz i komputer zapiszczał.

- Po prostu bydlę, zwykła świnia... Pisk rozległ się znowu.

- Zwykła świnia...

- To już było, powtarza się pani.

Beth drgnęła, potrącając klawiaturę; komputer natychmiast zareagował. To jest... Tak, poznała ten głos. Powoli odwróciła się i ujrzała uśmiechniętą twarz szefa. Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie odchrząknęła.

- Słucham, doktorze, czym mogę służyć? - zapytała schrypniętym ze zdenerwowania głosem.

Wyglądał na rozbawionego.

- Po prostu zajrzałem, żeby zobaczyć, kto tak się znęca nad komputerem. Zwabiły mnie te piski. Nie mogę uwierzyć, że to moja łagodna doktor Anderson tak go torturuje.

- Nie jestem „pańską” doktor Anderson.

Zarumieniła się ze wstydu, zrozumiałwszy poniewczasie, że to tylko taki jego sposób mówienia i nie trzeba było tak ostro reagować.

- Ależ tak.

W jego niebieskich oczach było rozbawienie, chociaż reszta twarzy była poważna. Podszedł i pochylił się nad biurkiem.

- A teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego mnie pani tak paskudnie nazwała. Słyszałem, co tam pani do siebie szeptała. - Spojrzała na niego przerażona. - Bo przecież chodziło o mnie, prawda?

Jej rosnące zmieszanie wyraźnie sprawiało mu przyjemność. Obraz kota bawiącego się myszą narzucił się sam. Beth spuściła oczy. Nie była w stanie powiedzieć prawdy i nie potrafiła kłamać. Bezradnym gestem splotła dłonie.

Zanim się zorientowała, co się dzieje, poczuła, że Dominik bierze ją pod brodę i unosi jej twarz tak, by musiała spojrzeć mu w oczy. Wstrzymała oddech, próbując znieść jego hipnotyzujące spojrzenie.

Widziała tylko jego oczy. Wiedziała, że poza nimi jest chłodna, przystojna twarz doktora Farquhara i cała jego wysoka postać, ale teraz dostrzegała tylko przechodzący w czerń błękit jego spojrzenia.

Próbowała odwrócić wzrok, ale uwięzła jakby w niewidzialnej sieci.

- Jak widzę, pracuje pani nad moją dokumentacją - usłyszała i dopiero wtedy spostrzegła, że już na nią nie patrzy. - Bardzo się pani gniewa, że zatrzymałem panią po godzinach?

Pytanie wydało się jej retoryczne i było jasne, że Dominik nie czeka na odpowiedź, a co więcej: nie jest jej ciekaw. Beth poczuła, iż miarka się przebrała. Może zawinił niedawno przeżyty stres, a może zbyt długi okres tłumienia emocji, ale coś w niej pękło. Tak jakby nie wytrzymała zbyt silnie napięta lina.

- To chyba oczywiste - odparła zamiast swego zwykłego „Nie, skądże”.
Rozbawienie zniknęło z oczu Dominika.

- Przecież sama się pani zgodziła.
- Nie miałam wielkiego wyboru.
- Potrzebuję tych danych właśnie dzisiaj.

Wiedziała o tym, ale miała mu za złe, że nie wykazał najmniejszego zainteresowania jej osobą. Przecież powinien był zapytać, dlaczego nie mogła ich przygotować. Zawsze robiła wszystko na czas. Czyżby to się nie liczyło?

- Dlaczego akurat dzisiaj tak się pani zdenerwowała? Może ma pani randkę?

Powiedział to takim tonem, jakby z góry wykluczał równie absurdalny powód. Nie zdziwiło jej to; miała świadomość, że nie robi wrażenia osoby o zbyt intensywnym życiu prywatnym.

- Nie.

- W takim razie o co chodzi?

- Jestem trochę zmęczona. - Nie miała siły ani ochoty zagłębiać się w szczegóły niedawnego incydentu. - Miałam ostatnio dużo pracy i zarwałam kilka nocy.

- Przecież zawsze tak pracujemy.

- Tak, ale przez ostatnie kilka miesięcy było jednak ciężiej niż zwykle.

- Po co spoglądać wstecz? - Skrzywił niechętnie wargi. - Jest pani bardzo dobrym lekarzem, Beth, ale nie nauczyła się pani jeszcze patrzeć w przyszłość.

Pobłażliwy ton jego głosu zranił ją, ale nic nie powiedziała. Nie mogła, wiedziała, że przy pierwszej próbie wybuchnie płaczem. A to byłoby najgorsze.

Żeby przerwać krępującą rozmowę i uniknąć jego przenikliwego spojrzenia, odwróciła się z powrotem do komputera. Wzrok Dominika padł na jej zakrwawioną spódnicę.

- Co to za plamy? Co się stało? Czy to... - Urwał i spojrzał na nią wyraźnie poruszony.

- Tak, to krew - potwierdziła, zaskoczona jego reakcją.

- Czy...?

- Nie, nic się nie stało. To nie moja krew - uspokoiła go - chociaż mogę firmie przedstawić rachunek z pralni, bo zaplamiłam spódnicę podczas wykonywania obowiązków służbowych.

- Co się stało?

Był naprawdę przejęty. Nigdy go takim nie widziała. Zwięźle opowiedziała mu, co zaszło w domu pani Miller i w jakim stanie jest Barry. Kiedy doszła do momentu, w którym Barry zaczął demolować pomieszczenie, przerwał jej.

- Była pani absolutnie pewna, że pani nie uderzy? - spytał niespokojnie.

- Tak.

- I na pewno nic się pani nie stało?

- Nie, to tylko tak groźnie wygląda.

- Naprawdę?

- Umiem się zachować w podobnej sytuacji, zapewniam. Nic mi nie grozi.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się dopytuje, bo nigdy dotychczas nie interesował się jej sprawami. Może na domiar złego zaczął wątpić w jej umiejętności zawodowe?

- Wiem, że jest pani znakomitym fachowcem, ale dla kobiety takie sytuacje nie zawsze są bezpieczne.

- Dla nikogo takie sytuacje nie są bezpieczne - oznajmiła i spojrzała na niego uważnie. Czyżby teraz zamierzał wygłosić przemowę na temat wyższości męskiej połowy rodzaju ludzkiego?

On jednak milczał, wyraźnie unikając rozpoczynania dyskusji na drażliwy temat. Spojrzał na ekran komputera.

- Poczekam do jutra. Rozumiem, że miała pani trudny dzień.

Nie zamierzała jednak skorzystać z jałmużny. Nadeszła pora odwetu.

- Jak powiedziałam, czuję się dobrze i mogę skończyć to, co już zaczęłam.

- Skoro tak pani uważa.

Odwrócił się i wyszedł, zostawiając ją sam na sam z komputerem.

Właściwie powinnam wstać i iść do domu, pomyślała. To, że on jest pracoholikiem, do niczego mnie nie zobowiązuje; nie wszyscy muszą robić to co on. Traktuje mnie jak posłusznego pieska, zawsze gotowego aportować rzucony patyk.

W godzinę później złożyła gotowy wydruk opisów i danych, opatrzyła je komentarzem i położyła na biurku przed doktorem Farquharem, który nawet nie raczył na nią spojrzeć.

Popatrzyła na ciemną, lekko siwiejącą głowę, pochyloną nad papierami.

- Dziękuję - usłyszała i poszła w stronę drzwi.

- Dobranoc - powiedziała cicho, czując, że dławią ją łzy. - Dobranoc, panie doktorze.

Było w jej głosie coś, co sprawiło, że uniósł głowę i zwrócił w stronę, skąd dobiegł go jej zdławiony głos. Objął spojrzeniem jej postać i tak jakby nie zauważył w niej nic ciekawego, wrócił do pracy.

- Dobranoc.

Niczego więcej nie oczekiwała. Wiedziała, że nie ma w niej nic, co może zatrzymać jego spojrzenie. Ciemne, opadające na ramiona włosy, pozbawiona wyrazu, nie umalowana twarz, nijaki strój. Miała na sobie jedną ze swoich zwykłych beżowych spódnic i podobną w kolorze bluzkę; była nieatrakcyjną szarą myszą i ktoś taki jak doktor Farquhar nie mógł jej dostrzec. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy pomyślała o nim jako o mężczyźnie, a nie - jak dotychczas - o przełożonym, dyrektorze, szefie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mimo że późno wróciła do domu, następnego dnia pojawiła się w pracy przed ósmą. Dominik już był. Siedział w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawiła poprzedniego wieczoru, i tylko świeża koszula świadczyła o tym, że w ogóle opuszczał szpital.

Kiedy mu się dokładniej przyjrzała, stwierdziła, że musiał spędzić w pracy większą część nocy. Był bledszy niż zwykle, pod oczami miał ciemne kręgi. Poczula nagły przypływ współczucia. Doktor Farquhar za dużo pracuje; jego siła i stanowczość charakteru sprawiały, że nie zawsze było widać przemęczenie, ale przecież jest tylko człowiekiem i jego niespożyta energia też musi się kiedyś wyczerpać.

Przecież nie można odmówić mu pomocy! Przygotowując sobie kawę, myślała o rozmowie z poprzedniego dnia. Nie tylko ona siedzi w pracy po godzinach, nie tylko ona zarywa noce, żeby podołać obowiązkom; on też pracuje ponad siły. Wzięła kubek z kawą i poszła do swego gabinetu, gdzie spojrzała w kalendarz. Przed południem ma zebranie komisji dyscyplinarnej, a potem wizyty u pacjentów. Przy odrobinie szczęścia może zdoła zajrzeć na oddział i zobaczyć, jak się miewa Barry.

Jak mogło do tego dojść? Nie pamiętała już szczegółów dyskusji, ale stało na tym, że to właśnie ona pojedzie z doktorem Farquharem „na kontrolę”. Od pewnego czasu ze szpitala psychiatrycznego położonego na północy Szkocji dochodziły niepokojące wieści. Oboje byli członkami komisji lekarskiej i do ich obowiązków należała wizytacja zamkniętych ośrodków. Wiedziała, że Dominik zorientował się, że nie ma ochoty z nim jechać. Może jeszcze uda się jej jakoś wymigać... Mają tam jechać dopiero za sześć tygodni i niewykluczone, że któryś z lekarzy da się namówić na zastępstwo. Przez całe zebranie czuła na sobie baczne spojrzenie szefa. Na szczęście Dominik już

wkrótce pojedzie na trzy tygodnie do Stanów i można będzie odetchnąć. Czują się trochę jak owad na szpilce, poddawany stałej obserwacji, a nie było to miłe.

- Mam nadzieję, że to nie ja jestem powodem pani złego humoru?

Stał w progu gabinetu lekko uśmiechnięty. Wszedł bardzo cicho i zaskoczył ją.

- Nie ma żadnego powodu - odparła, nie patrząc na niego.

- Jest pani pewna, że to nie ja?

Uniosła na niego wzrok i natychmiast spuściła oczy.

- Oczywiście.

Widać było, że nic go to nie obchodzi, a pyta tylko po to, żeby coś powiedzieć.

- Mam do pani pewną prośbę.

Ton jego głosu nie pozwalał na najmniejsze wątpliwości: nie miał żadnej prośby, po prostu zamierzał wydać nowe polecenie.

- Mogłaby pani ostatecznie uporządkować bazę danych o pacjentach? Chciałbym po powrocie zastać wszystko opracowane tak, żebyśmy zaraz mogli przejść do analiz szczegółowych.

- Chyba nie będę miała na to czasu - zaczęła z wahaniem, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że podświadomie zaczyna już tak sobie organizować pracę, żeby ten czas znaleźć. Zawsze można przecież coś przełożyć na później...

- Czas ma się zawsze - oświadczył mentorskim tonem - trzeba tylko nauczyć się właściwie go wykorzystywać.

Nie podniosła głowy. Dlaczego mu na to pozwala? Dlaczego pozwala mu traktować się w ten sposób? Przyzwyczaiła się po prostu.

Ale przecież z każdym przyzwyczajeniem można zerwać...

Już miała wyjść, kiedy przypomniała sobie, że potrzebne jej sprawozdanie znajduje się w gabinecie Dominika. Zajrzała do środka; nikogo nie było.

Ponieważ wiedziała, że nie miałby nic przeciwko temu, weszła i wzięła papiery

z jego biurka. Gdy wychodziła, uderzyła ją fala ciężkich francuskich perfum, napływająca z korytarza. Dopiero w kilka sekund później pojawiła się kobieta.

- Proszę mnie nie zapowiadać. - Helena Graham przeszła obok niej, nie racząc zaszczyć jej wzrokiem, i wtargnęła do gabinetu doktora Farquhara.

- Nie ma go? - Stała i rozejrzała się. Nowa fala perfum rozeszła się dokoła.

Helena była wysoka, szczupła i bardzo elegancka. Beth nagle poczuła się gruba i niezdarna. Czerwona, krótka spódniczka nowo przybyłej, jej zgrabne, długie nogi, jaskrawo umalowane usta i szokująca pewność siebie sprawiły, że poczuła się w jej obecności jeszcze gorzej niż zwykle.

Od pewnego czasu znała już przyjaciółkę szefa.

- Dlaczego mi nie powiedziano, że go nie ma?

Bezosobowa forma, jakiej użyła, pogłębiła jeszcze poprzednie wrażenie. Nigdy dotąd żadna z „narzeczonych” Dominika nie utrzymała się tak długo przy jego boku. Beth nie bardzo wiedziała dlaczego, chociaż przecież to było oczywiste: kto mógłby zrezygnować z tak pięknej, wytwornej, przebojowej kobiety?

- Czekam na odpowiedź.

Nie bardzo wiedziała, o co tamtej chodzi. Helena natychmiast właściwie odczytała wyraz jej twarzy.

- Pytałam, gdzie jest doktor Farquhar. Nie płacą pani za stanie i gapienie się.

- O ile wiem, doktor Anderson nigdy się nie gapi.

Nie usłyszały, kiedy nadszedł. Stał teraz i patrzył na nie z nieodgadniętym uśmiechem, który zmieszał Beth.

- Witaj, Heleno, co tutaj robisz?

- Wpadłam, żebyś mnie zabrał na lunch.

Minęli Beth i weszli do gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

- Nie mam dziś czasu na lunch - usłyszała jeszcze.

Znała rozkład jego zajęć i wiedziała, że mówi prawdę, dlatego niezmiernie się zdziwiła, kiedy w chwilę potem usłyszała, jak mówi do sekretarki:

- Wychodzę na lunch. Będę za jakieś dwie godziny.

A praca? Może poczekać? - pomyślała z goryczą Beth. To ja haruję za niego, a on sobie idzie na lunch?

Nie bardzo rozumiała, o co jej chodzi. Przecież do niedawna wydawało jej się to zupełnie normalne. Dlaczego w takim razie teraz nagle zaczęło ją denerwować?

- Co pani o tym sądzi?

Beth siedziała na kanapie obok kobiety w średnim wieku, rozmawiając o stanie jej zdrowia.

- Myślę, pani doktor, że mogę już zostać na tej terapii grupowej - odparła z wahaniem kobieta, a potem dodała pewniejszym nieco głosem: - Powinno mi to wystarczyć; ze mną jest chyba całkiem dobrze.

Elsbeth Gordon, podobnie jak Barry Miller, została sześć miesięcy wcześniej wypisana ze szpitala i leczyła się w domu. W jej przypadku eksperyment dawał jednak znacznie lepsze rezultaty. Regularnie pobierała lit i przychodziła do kliniki tylko na dzienne zajęcia w grupie.

Od pewnego czasu mieszkała sama w skromnym dwupokojowym mieszkaniu i całkiem nieźle dawała sobie radę.

Wywiad psychiatryczny obejmował również punkty dotyczące „dbałości o najbliższe otoczenie”, ale Beth mniejszą niż inni lekarze wagę przywiązywała do tego, czy pokój jej podopiecznego odznacza się nieskazitelną czystością. Chaos, nieład i zaniedbanie mogą oczywiście świadczyć o postępie choroby, ale uważała, że najważniejsze są proporcje i trzeba czegoś więcej niż nie zamieciona podłoga, by orzec, że pacjent ma „niedobre rokowania”.

- Te dzienne zajęcia to bardzo dobry pomysł. Nie wiem, jak dałabym sobie bez nich radę.

- Dlaczego?

- Mam dokąd iść, spotykam ludzi.

- A poza zajęciami nie spotyka pani nikogo? Elspeth pokręciła głową.

- Nie. Czasem zamienię z kimś kilka słów w sklepie...

- Jest pani samotna?

- A jak pani myśli?

W głosie kobiety zabrzmiała gorycz i Beth poczuła wyrzuty sumienia.

- Przepraszam, to było głupie pytanie.

Pani Gordon spojrzała na nią z nie skrywanym zdziwieniem.

- Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby jakiś doktor mówił przepraszam.

Beth uśmiechnęła się.

- Zwykle uważamy, że mamy rację.

Nie była pewna, czy jej rozmówczyni podtrzyma ten temat, ale pani Gordon zrobiła to.

- I na ogół macie - stwierdziła nieoczekiwanie. - Muszę powiedzieć, że przez te wszystkie lata wiele dla mnie zrobiliście. Nie było to łatwe ani przyjemne, ale trzeba przyznać, że miało sens.

- A teraz? Elspeth zamyśliła się.

- Teraz jakoś to będzie. Nie jest łatwo kobiecie w moim wieku znaleźć sobie przyjaciół, zwłaszcza gdy ma za sobą chorobę psychiczną..

- A co z pani rodziną?

- Mąż odszedł ode mnie po roku choroby. Nie mógł tego znieść i wcale mu się nie dziwię. Kiedy miałam manię prześladowczą, trudno było ze mną wytrzymać. Narobiłam kupę długów...

- Nadmierne zainteresowanie nabywaniem przedmiotów? - uśmiechnęła się Beth.

Wiedziała, że w pewnej fazie psychozy maniakalnej chorzy w sposób patologiczny skupują rozmaite rzeczy.

Cień uśmiechu przesunął się przez twarz Elspeth Gordon.

- I to jak! Kiedyś zamówiłam nawet fortepian koncertowy...

- Jak rozumiem, koszty przerosły państwa możliwości finansowe?

Wiedziała, że odpowiedź może być tylko jedna.

- A do tego mieszkaliśmy na trzecim piętrze! - Pani Gordon leciutko się uśmiechnęła. - Teraz łatwo o tym mówić, ale wtedy... to była katastrofa.

Ponieważ złożyłam zamówienie na piśmie, firma zażądała odszkodowania. Mój mąż próbował jakoś to załatwić, ale wtedy przyszły inne rachunki i dał sobie spokój.

Przerwała i spojrzała Beth prosto w oczy.

- Ludziom nieraz takie rzeczy wydają się bardzo zabawne, a to przecież wcale nie jest śmieszne, jak ktoś nie potrafi się opanować i robi głupstwa. Moje głupstwa jeszcze się za mną ciągną. Stale mam długi.

- Mąż nie może pani pomóc?

- Ma swoje kłopoty, dosyć dałam mu w kość. Nie mieliśmy żadnej bliskiej rodziny i nikt mu nie pomagał. Moi rodzice nie żyli, mam tylko siostrę, ale się nie widujemy, i jakąś ciotkę, która nie wiem, gdzie mieszka. Podobno też choruje psychicznie.

Teraz to się nazywa „depresja bipolarna”, prawda? Może to lepiej brzmi, ale choremu niewiele pomaga.

Beth pomyślała o swoim „normalnym” życiu i o „normalnych” ludziach, którzy ją otaczają.

- Najgorzej, jak w sobotę i niedzielę nie ma tych naszych spotkań. Wtedy nie wiem, co z sobą zrobić.

- Może mogłaby pani zapisać się do jakiegoś klubu - zaproponowała Beth, ale widząc wyraz oczu pacjentki, nie nalegała.

- Może.

Wychodziła z poczuciem, że stan pani Gordon jest „stabilny”, a kuracja daje dobre rezultaty. Wszystko jest na właściwej drodze i w sprawozdaniu

napisze, że terapię można ograniczyć do „uczestnictwa w zajęciach grupowych pokrewnych jednostek chorobowych”.

Wspomnienie wizyty u pani Gordon prześladowało ją jednak przez resztę dnia. Jeszcze wieczorem, jadąc do przyjaciół, myślała o wyrazie twarzy kobiety, kiedy padło słowo „samotność”. Ona, Beth, ma rodzinę i przyjaciół, ale większość przyjaciół założyła już własny dom i żyje własnym życiem. Groziło jej, że skończy jako samotna kobieta, bez domu, męża i dzieci. Oczywiście, nie musi się spieszyć, ale czas ucieka i... na razie nic nie wskazuje, że coś się w jej życiu zmieni.

Zawsze dużo pracowała i nie miała czasu na umawianie się z mężczyznami, a teraz tych mężczyzn już nie było - jakby gdzieś zniknęli. Przeoczyła coś i dziś jest za późno. Jedzie do przyjaciół, ale oni zamierzają wyjść na kolację, a ona ma zostać z ich półrocznym dzieckiem.

Podjechała pod dom, w którym mieszkali Cassie i George, i odegnała od siebie przygnębiające myśli. Skąd ten nastrój? Czyżby to wpływ pani Gordon? Tylko tego brakowało, żeby zamieniły się rolami! A może to coś innego?

Wzruszyła ramionami; po prostu jest przemęczona.

Ale nawet na mnie nie spojrzął... To znaczy spojrzął, ale nie zauważył...

Uśmiechnęła się, słysząc za drzwiami kroki przyjaciółki. Cassie otworzyła i Beth postanowiła stanowczo nie myśleć już o Dominiku.

Myślała o nim przez cały tydzień właściwie bez przerwy. Wiedziała, że musi coś zrobić, żeby przestał ją traktować w sposób, który z czasem stał się nie do zniesienia, ale nie wiedziała, od czego zacząć.

- On po prostu cię wykorzystuje, zawsze tak było. - Słowa Cassie uświadomiły jej, do jakiego stopnia sytuacja jest oczywista. - Musisz mu się przeciwstawić.

- Czy my też cię wykorzystujemy? - zapytał George, kiedy Cassie poszła poprawić makijaż. - Powiedz, ale szczerze.

- Skądże! - Beth wzruszyła ramionami. - Przecież sama chcę widywać swojego chrzestnego syna.

- Tak zapytałem, bo wyglądasz, jakby coś cię gnębiło.

- Zamyśliłam się tylko, bo Cassie powiedziała coś bardzo ważnego. Zaraz mi przejdzie, nie przejmuj się.

W kilka minut później, zostawiwszy telefon restauracji, w której mieli zamiar świętować rocznicę ślubu, Cassie i George wyszli.

Beth pochyliła się nad łóżeczkiem, w którym spał Robert, i przez chwilę wpatrywała się w małą twarzączkę. Potem poszła do kuchni, wzięła kanapki i kawę, po czym zwinęła się na kanapie w salonie i sięgnęła po ilustrowane pisma. W pół godziny później wiedziała już, że w jej życiu zajdą wielkie zmiany.

- Przepraszam, wróciliśmy trochę później...

Beth nie spojrzała na nich; znajdowała się tysiące mil stąd.

- Beth...

Cassie i George stali, patrząc na nią pytająco.

- Przepraszam, myślałam o czymś innym. Dobrze się bawiliście?

- Cudownie. Ty chyba też nie marnowałaś czasu. Zerknęła na stos magazynów piętrzących się u jej boku.

- Możesz mi pożyczyć to pismo?

Cassie skinęła głową i poszła do dzieciennego pokoju. George zerknął na tytuł.

- „Uroda i Życie”, doskonały pomysł. Weź to, bardzo ci się przyda.

W jego głosie nie było ironii i postanowiła to docenić. Wymienili porozumiewawczy uśmiech.

- Z czego się tak cieszyacie? - Cassie, która właśnie wróciła do salonu, spojrzała na nich podejrzliwie. - O co chodzi?

- Ktoś tu do czegoś dojrzał - oznajmił George.

- Raczej gąsienica zamierza przemienić się w motyla - dodała Beth.

- Musi tylko pamiętać, że jest jeszcze stadium pośrednie, poczwarka. Nic nie wolno robić na siłę.

- O czym wy mówicie? - Cassie przeniosła zdumione spojrzenie z przyjaciółki na męża. - Ty chyba za dużo wypiełeś?

- Sama wiesz, ile piłem. Wypiłem kieliszek wina, żeby potem móc cię odwieźć do domu - odparł potulnie.

- W takim razie pozostaje mi czekać, aż łaskawie sami dopuścicie mnie do tajemnicy.

Beth otworzyła magazyn i podała go przyjaciółce. Postukała palcem w stronę, na której były adresy gabinetów, gdzie udzielano porad, jak przy pomocy stroju i odpowiedniego makijażu zmienić osobowość i odnieść sukces w życiu prywatnym i zawodowym. W Glasgow było kilka takich gabinetów.

Cassie przez chwilę milczała.

- Rozumiem, rozumiem, tak to sobie wymyśliłaś - powiedziała potem i wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

Beth opanowała się pierwsza, ogarnięta nagłymi wątpliwościami. Pomysł nie wydawał jej się już tak dobry jak przed chwilą.

- Sama nie wiem... Może nie powinnam tam chodzić? Może wystarczy, jak sama...

- Nie! Wykluczone! Nigdy!

- Przecież znam zasady funkcjonowania pewnych zachowań, wiem, co robić. Nieraz omawiam takie rzeczy z pacjentami...

- Nie!

- Najgorzej jest oczywiście z zastosowaniem praktycznym. Wszystko polega na tym, że osoba ludzka ma swoje prawa, każda osoba ludzka. Rzecz w tym, że nikt nie ma prawa ingerowania w prawa innej osoby ze szkodą dla jej wolności. Ograniczenia wolności osoby ludzkiej mogą być spowodowane tylko...

- Przestań!

Spojrzenia przyjaciół przywołały ją do porządku.

- Sama wiesz, że to bez znaczenia. Nigdy nie potrafiłaś pomóc samej sobie - powiedziała wolno Cassie. - Zawsze robiłaś tylko to, czego inni od ciebie oczekiwali. Nigdy nie potrafiłaś postawić na swoim.

Bardzo lubiła pracę w komisji dyscyplinarnej. W jej skład wchodziła lekarze psychiatrzy, których zadaniem było rozpatrywanie skarg napływających od pacjentów klinik i zakładów zamkniętych z całego kraju. Komisja była organizacją rządową, działającą niezależnie od zarządu szpitala, co dawało jej możliwość rzetelnego rozpatrywania sygnalizowanych przypadków nadużyć i nieprawidłowości. Członkowie komisji zapoznawali się też z warunkami panującymi w poszczególnych placówkach i mieli wpływ na ocenę pracy zatrudnionych w nich lekarzy.

Praca tego typu ograniczała praktykę ściśle medyczną i to był właściwie jej jedyny mankament, ale Beth miała świadomość, że jej udział w komisji nie będzie trwał wiecznie. Miała zresztą inne jeszcze zajęcia, luźno tylko związane z pracami komisji, funkcjonującej przy szpitalu psychiatrycznym miasta Glasgow.

Właśnie te inne zajęcia sprawiły, że myśl o zmianie osobowości w ciągu kilku następnych dni została zepchnięta na dalszy plan. Doktor Anderson poświęciła się całkowicie wizytom domowym u pacjentów mieszkających poza miastem. Przez kilka dni nie zaglądała do szpitala, a kiedy wreszcie się zjawiała, miała z sobą stosy notatek i perspektywę wielu godzin pracy nad aktualizacją kartoteki. Dominik za dwa dni miał lecieć do Stanów i musiała z nim jeszcze omówić kilka spraw.

Spotkała go w drzwiach jego gabinetu.

- Beth, dobrze, że pani jest. Chciałem z panią zamienić kilka słów.

- Panie doktorze - przerwał mu głos sekretarki - dzwoni doktor Lyall.

- Już idę. - Spojrzał na Beth. - Zaraz przyjdę.

Zniknął w swym gabinecie, a Beth wróciła do siebie zniechęcona i rozczarowana. Po raz kolejny odczuła, że doktor Farquhar traktuje ją jak

przedmiot. A przecież pod względem zawodowym jest tak samo dobra jak on; powinien darzyć ją szacunkiem, a przynajmniej - okazywać go.

Usiadła za biurkiem i natychmiast zadzwonił telefon.

- Słucham - powiedziała, próbując nadać głosowi ton surowy i opanowany.

- Chyba dzwonię w niewłaściwym momencie - usłyszała szczebiot Cassie.

- Nie, wszystko w porządku, to znaczy bez zmian.

- W takim razie będę się streszczać. Dzwonię, żeby zapytać, czy będziesz mogła dziś do mnie wpaść, George ma jakieś zebranie.

- Z przyjemnością, tego właśnie mi trzeba.

W słuchawce rozległy się jakieś szумы, a potem znów głos Cassie, przemawiający czule do Roberta.

- Chodź i powiedz cioci Beth dzień dobry.

- Robercie, to ty? Witaj, kochanie - zawołała Beth i w tym samym momencie poczuła, że ktoś przy niej stoi.

Uniosła oczy i ujrzała napiętą twarz Dominika. Jak zwykle nie usłyszała jego kroków.

- Do widzenia, kochanie - powiedziała szybko do słuchawki. -

Zobaczymy się wieczorem, pa.

Dominik był wściekły.

- Jak widzę, praca jest u pani na ostatnim miejscu. Nie spodziewałem się tego i nieco się dziwię!

Odwrócił się i szybko wyszedł na korytarz. Kliniczny, typowy obraz urażonego samca. Beth szybkim krokiem ruszyła za nim; niemal biegnąc, dotarła do jego gabinetu.

- Chciałam, żebyśmy omówili plan zajęć na najbliższe trzy tygodnie...

- Innymi słowy, co robić, żeby sobie odpocząć, jak ja będę w Stanach na kongresie.

- Nie, po prostu chciałabym mieć jasność, czy...

- Czy mogę sobie do woli gawędzić z Robertem!

- Przecież to były tylko dwie minuty...

Podkreślenie, że na prywatną rozmowę straciła tylko dwie minuty, wydało jej się ważniejsze niż wyjaśnienie, że Robert to dziecko, a nie dorosły mężczyzna. Ruchem ręki wskazał jej krzesło.

- Muszę przed wyjazdem zasygnalizować pani fakt, który może być powodem pewnych komplikacji.

Usiadła i spojrzała na niego pytająco. Mówił zmęczonym głosem, tłumiąc zdenerwowanie.

- Jedna z pacjentek, młoda osoba, popełniła samobójstwo.

Rodzina zarzuca personelowi szpitala, że jej nie dopilnowano. Do komisji wpłynęło oficjalne pismo w tej sprawie. Proszę zająć się tym w czasie mojej nieobecności.

Beth przełknęła ślinę. Taka sprawa wymaga bardzo dużo czasu, wszystko inne trzeba będzie odłożyć.

- Może by pan porozmawiał z Bobem? - zapytała cicho, z nadzieją, że Dominik obarczy innego lekarza sprawą samobójczyni.

Niebieskie oczy Dominika pociemniały z gniewu.

- Beth, co się z panią dzieje? Ostatnio stale mi się pani sprzeciwia, odmawia wykonania poleceń... To nie jest poczta, tu się nie pracuje od godziny do godziny!

Przez sekundę zastanawiała się, czy on zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo jest niesprawiedliwy. Odpowiedź przyszła szybciej, niż się spodziewała.

- Czy nadal chce pani tu pracować, Beth? Spojrzała na niego ze zdumieniem. O co mu chodzi?

- Tak, oczywiście.

Wstała i wolnym krokiem ruszyła ku drzwiom, gdy zatrzymał ją jego głos.

- Zawsze uważałem panią za dobrego psychiatrę, ale...

Nie odwracając się, czekała na dalsze słowa, a ponieważ milczał, odwróciła się i spojrzała na niego.

- Ale co?

Przez chwilę miała nedorzeczne wrażenie, że doktor Farquhar nie wie, co powiedzieć.

- Ale chyba sama nie bardzo pani wie, czego chce - rzekł wreszcie - a powinna pani. Człowiek na pewnym etapie życia powinien zdawać sobie sprawę ze swoich możliwości i oczekiwań innych.

Zabrzmiało to jak wyrok i nie miała nic do dodania. Wyszła w absolutnej ciszy, czując na plecach jego ciężkie spojrzenie.

Coś w ich wzajemnych stosunkach uległo zmianie, ale nie wiedziała co. A przede wszystkim nie wiedziała, jak do tego doszło.

- I co ja mam teraz robić? - zapytała i spojrzała na Cassie i George'a.

Właśnie wszystko im opowiedziała i czekała na to, jak zareagują. Właściwie chodziło jej o to, co powie George, bo zdanie Cassie już знаła. Przyjaciółka już w czasie jej opowieści dawała wyraz temu, co sądzi o jej szefie. Beth nawet zamierzała go bronić, ale zawsze w ostatniej chwili, nie wiedząc czemu, rezygnowała.

George przez chwilę się namyślał; widać było, że stara się być obiektywny i spojrzeć na sprawę z dystansu. Beth wolała to niż spontaniczne wykrzykniki Cassie.

- Chciałabyś odejść? - zapytał w końcu.

- Nie. To znaczy... nie, na pewno nie - odparła w końcu - ale tak dłużej być nie może. On traktuje mnie jak psa, jak chłopca do bicia, jak...

- I co zamierzasz zrobić? - George wyraźnie powstrzymywał się od wypowiedziania sądów, próbując raczej od niej wydobyć odpowiedź.

- To, co powiedział. Przemyśleć wszystko i zdecydować, co dla mnie najważniejsze.

Cassie nie wytrzymała.

- Ten facet to po prostu świnia, zwyczajna męska świnia! Taki nie zmieni się nigdy.

- Trzeba spróbować. Cassie wzruszyła ramionami.

- Widziałam go tylko kilka razy, i to w przelocie, ale nie mam najmniejszych wątpliwości: to słodki brutal, nieprzytomnie przystojny i pewny siebie. Taki zawsze sobie znajdzie kogoś, kto pozwoli się deptać i poniżać. Wystarczy, że gwizdnie!

Spojrzeli na nią ze zdziwieniem i Cassie lekko się zaczerwieniła.

„Słodki brutal”, „nieprzytomnie przystojny”, przemknęło przez myśl Beth. Nigdy bym go tak nie określiła. Jest oczywiście przystojny i może się podobać, ale...

Przywołała jego obraz i przyjrzała mu się. Po chwili nie miała już wątpliwości: Cassie powiedziała prawdę. Dominik jest rzeczywiście niezwykle przystojny. Wysoki brunet o pięknie zarysowanych ustach i niezwykle oczach, w których błękit miesza się z czernią... Jest przystojny i wie o tym; musi też zdawać sobie sprawę z tego, jakie wrażenie robi na kobietach i zupełnie świadomie to wykorzystuje. Dlaczego nigdy przedtem nie spostrzegła tego z taką ostrością?

Spojrzała na George'a; uśmiechnął się i zrobił oko do żony.

- Teraz już wszystko jasne. Cassie zna się na tym. - Potem spoważniał i zwrócił się do Beth. - Bez względu na to, co mówi moja żona, wydaje mi się, że on zdaje sobie sprawę z tego, że cię wykorzystuje, i boi się, że odejdziesz. Musisz po prostu opracować sobie plan działania i wprowadzić go w czyn po jego powrocie. Teraz zostawiam was, muszę iść na to zebranie. - Zawahał się, a potem dodał: - Problem w tym, Beth, że robisz wrażenie osoby, która na wszystko się zgodzi. Przepraszam za szczerość, ale rozmawiamy przecież poważnie. Nie wyglądasz na kogoś, kto potrafi podjąć walkę.

- Ofiara losu, chciałeś powiedzieć.

- Ale bardzo ładna ofiara.

- Jednak ofiara, prawda? Skinął głową.

- Pokorna, bezwolna ofiara - potwierdziła bezlitośnie opinię męża jej najlepsza przyjaciółka.

Beth milczała. Ciekawe, jak wygląda w oczach Dominika? Czy jest po prostu jednym ze sprzętów, stanowiących wyposażenie biura? Przypomniała sobie swoje szarobeżowe, bezbarwne stroje, proste spódnice i schludne sweterki...

Szara mysz, której nigdy nie dostrzeże się w tłumie. A on? On jest indywidualnością, kimś, na kogo zawsze kierują się wszystkie spojrzenia, kiedy tylko się pojawia. To jasne, że musi gardzić kimś tak niepozornym jak ona. Helena Graham to zupełnie co innego. Pasują do siebie. Ciekawe, czy można coś zrobić, żeby wszystko się zmieniło...

Przejrzenie najnowszego numeru „Vogue” nic nie dało. Spędziła cały wieczór na wpatrywanie się w wychudzone modelki o dziecinnych buziach, odziane w cudowne i zupełnie niepraktyczne kreacje. Coś takiego musi kosztować fortunę i zupełnie nie nadaje się do pracy w szpitalu ani na wizyty u pacjentów... Zniechęcona odłożyła pismo i sięgnęła po magazyn wypożyczony od Cassie.

Nie dając sobie czasu na zmianę postanowienia, szybko odszukała odpowiednią stronę.

„Morven McNeil, wizażystka, porady w każdym zakresie, zmiana osobowości”.

Nic nie ryzykuję, pomyślała, nie mam nic do stracenia. Zmusiła się do wystukania numeru, modląc się w duchu, żeby to była pomyłka. Głos kobiety, która podniosła słuchawkę, był dźwięczny i energiczny. Beth zdławionym głosem wyjaśniła, o co jej chodzi.

- Tak pani mówi, jakby to była sprawa życia lub śmierci - roześmiała się Morven i Beth oczami duszy ujrzała granatowe oczy Dominika, patrzące na nią z ironią i powątpiewaniem.

- Bo tak właśnie jest - odparła. Na chwilę zapadła cisza.

- W takim razie - sympatyczny głos kobiety rozległ się znowu - proszę przyjść w sobotę.

Beth odłożyła słuchawkę i przypomniała sobie, co powiedziała Cassie i jej mężowi: gąsienica zamierza przemienić się w motyla. Dominik przez trzy tygodnie będzie w Stanach. Okres przejściowy poczwarki powinien trwać właśnie tyle.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przez pół nocy przewracała się z boku na bok, zastanawiając się, czy postąpiła słusznie i czy wizyta u wizażystki ma sens. Przez następne pół nocy upewniała się, że nie ma wyjścia, i wyobrażała sobie, jak zachowa się Dominik, kiedy ją zobaczy po powrocie. Osłupieje? Zblednie? Nic nie zauważy?

To ostatnie wydało jej się najbardziej prawdopodobne i z tym przeświadczeniem w końcu pogrążyła się w półśnie. Natychmiast napłynęły wspomnienia pewnego wieczoru sprzed kilku miesięcy. W czasie świąt Bożego Narodzenia została zaproszona na przyjęcie dla lekarzy zorganizowane w jednym z największych hoteli w mieście. Weszła na salę zdenerwowana i rozejrzała się oślepiąca światłem. Jasnozielona szyfonowa sukienka, z której jeszcze przed chwilą była tak dumna, zbladła nagle i zszarzała w porównaniu z wytwornymi, błyszczącymi kreacjami innych kobiet. Już miała odwrócić się i wyjść, gdy przytrzymała ją silna dłoń.

- Prosimy, Beth, prosimy - usłyszała głos Dominika i poczuła jego oddech na karku. Zadrżała i wiedziała, że to zauważył, bo zobaczyła rozbawiony wyraz jego twarzy. Na szczęście, zanim zdążyła się odezwać, została przedstawiona towarzyszącej Dominikowi postawnej brunetce w sukni ze złotej lamy.

- Zatańcz ze mną, Beth - powiedział i zabrzmiało to jak rozkaz, a nie prośba.

Nie bardzo umiała tańczyć i zazwyczaj unikała podobnych sytuacji. Zresztą wątpiła, by Dominikowi zależało na tańcu z nią.

- Wolalabym nie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...
- Mam, i to wiele - odparł i z uśmiechem położył jej rękę na biodrze.
- Ja nie umiem tańczyć - szepnęła.
- Połowa z tych ludzi nie umie. - Ruchem głowy wskazał salę. -

Wystarczy kołysać się w rytm muzyki.

Nieśmiało uniosła wzrok i spostrzegła, że Dominik ma rację: wokół, na parkiecie, ludzie poruszali się rytmicznie, wsłuchani w powolne dźwięki orkiestry. Dominik objął ją i lekko przyciągnął do siebie.

- Proszę położyć ręce na moich ramionach - pouczył ją, a kiedy to zrobiła, pociągnął ją za sobą w roztańczony tłum. Sama nie wiedziała, kiedy objęła go za szyję...

Kiedy się zorientowała, odsunęła się i zakłopotana zerknęła na swego partnera. Długo jeszcze będzie pamiętać rozbawienie, jakie dostrzegła w jego zmrużonych oczach. Doskonale wiedział, o czym pomyślała, i robił wszystko, żeby powiększyć jej zmieszanie. Nikt nigdy jej tak nie upokorzył; wyrwała się z jego ramion i poszła w stronę stolika.

- Co się stało, Beth?

Zwróciła ku niemu doskonale opanowaną twarz.

- Dziękuję za taniec.

- Beth...

Dziewczyna w złotej sukni wężowym ruchem wsunęła się pomiędzy nich i porwała Dominika na parkiet.

Ilekcóż Beth wspominała ten wieczór, czuła dojmujące uczucie upokorzenia; wypierała z pamięci wyraz twarzy Dominika tak wytrwale, że nigdy naprawdę go nie rozszyfrowała. Teraz, we wspomnieniach, nagle ujrzała na niej mieszaninę zdziwienia i zainteresowania. I coś jeszcze, ale tego nie potrafiła określić.

Bez względu na to, jak dalece zamierzała odmienić swe życie prywatne, prace w komisji dyscyplinarnej musiały się toczyć zwykłym trybem. Napisała do rodziny samobójczyni list z prośbą o spotkanie. Zapoznała się z materiałami i przeczytała skargę. Jennifer Sullivan, po kilku próbach odebrania sobie życia, przez pewien czas przebywała na oddziale zamkniętym. W dokumentacji było jednak tyle luk i niedopowiedzeń, że Beth nie znalazła nic, co w jakimkolwiek stopniu mogłoby wyjaśnić okoliczności tragicznego wydarzenia. Odłożyła papiery z poczuciem, że właściwie niczego się nie dowiedziała.

- Słyszałem, że Dominik na ciebie zwał ten przypadek.

Bob Muir, jeden z lekarzy należących do komisji, spojrział sceptycznie na teczkę, którą właśnie odstawiała na półkę.

- A może ty chciałeś się tym zająć? - zapytała niewinnie i nie zdziwiła się, gdy starszy kolega energicznie zaprotestował.

- Nie, nigdy! To wszystko twoje. - Roześmiał się i zaraz spoważniał. - Nie zazdroszczę ci tego przypadku, Beth. Sytuacja w szpitalu jest dość trudna, ostatnio było sporo samobójstw. Rodziny pacjentów bez przerwy protestują. Ludzie nie rozumieją, że to może się wydarzyć zawsze i wszędzie.

- Ale wydarzyło się właśnie tutaj i trzeba to wyjaśnić.

Drażnił ją trochę ton Boba; w jego głosie brzmiała pobłażliwość i poczucie wyższości, które wydały jej się zupełnie nie na miejscu.

- Nie wydarzyło się nic szczególnego. Statystycznie rzecz biorąc, liczba tego typu wypadków w ciągu ostatnich pięciu lat wcale nie jest niepokojąca. Ostatnio samobójstw prawie nie było, a teraz nastąpiła cała seria. Wszyscy wiemy, że tak właśnie bywa, ale ludzie tego nie pojmują.

- Sprawa Jennifer dostała się do gazet.

- Jej rodzina zrobiła wszystko, żeby się znaleźć na pierwszej stronie. Coś o tym wiem.

- Dużo wiesz, Bob. - Spojrzała na niego spod oka.

- Bo ja, moja droga, słucham, co w trawie piszczy!

Roześmiał się i zrobił ruch, jakby chciał ją protekcyjnie poklepać po ramieniu. Odsunęła się i patrząc, jak odchodzi, pomyślała, że Dominik wpakował ją w dość podejrzaną historię.

Wystarczyło kilka minut, by nabrać pewności, że tym razem czeka ją bardzo przyjemny dzień. Wytworna kobieta, która otworzyła jej drzwi, uśmiechała się tak serdecznie, że Beth natychmiast nabrała do niej zaufania.

- Wypijemy kawę i zaraz sobie porozmawiamy - powiedziała Morven i posadziła Beth w fotelu. Lody zostały przełamane.

Rozmowa bardzo szybko wykroczyła poza ramy konwencjonalnej pogawędki i objęła sprawy, o których Beth z nikim jeszcze tak szczerze nie mówiła.

- Wydaje mi się, że naszego Dominika czeka duża niespodzianka - rzekła w pewnej chwili Morven i wyjęła z dłoni Beth kubek z kawą. - Teraz sobie ciebie obejrzę.

Ustawiła ją pod światło i skrupulatnie obejrzała każdy centymetr jej twarzy. Potem wzięła kolorowy kawałek jedwabiu i zarzuciła jej na ramiona.

- Nie, ten nie. Zobaczymy, jak ci będzie w innym.

Beth zerknęła w stronę lustra i zobaczyła, że niektóre kolory dodają jej twarzy ciepła i głębi, a inne spłaszczają ją i zamazują. Coraz uważniej śledziła czarodziejskie zabiegi Morven.

- Zobacz, ten podkreśla karnację twojej twarzy, wydobywa jej blask i dodaje koloru oczom, a ten całkiem cię zamazuje, robisz się szara i nijaka, pospolita jak kartoflanka.

Beth doskonale to widziała, a jednak lekko się obruszyła.

- Może to i prawda, ale mogłabyś to powiedzieć trochę delikatniej.

- Nie mamy czasu na subtelności - oświadczyła Morven, zarzucając jej na ramiona malinowy szal. - Tak, teraz już nie mam wątpliwości: jesteś zimą.

W krótkich słowach wyjaśniła jej, że istnieją cztery podstawowe typy kobiecej urody, będące odpowiednikami czterech pór roku.

- Tak, zima, typowa zima, korzystne kolory żywe i zdecydowane, zakaz szarości, beżu i jasnego brązu, żadnych półtonów.

Beth chciała zaprotestować, ale Morven nie dopuściła jej do głosu. Lustro też mówiło swoje. Ostra czerwień, intensywny błękit, czerń i biel robiły z jej twarzą cuda.

- Możesz sobie zatrzymać tę twoją ulubioną zielenią, ale musi być ostrzejsza, a wszystkie beże wyrzucamy do kosza.

- Może zrobimy jeszcze makijaż - zaproponowała nieśmiało Beth, kiedy skończyły dobierać kolory.

Do lunchu zasiadły już w pełnej gali. Jasny podkład i nieco ciemniejszy puder, karminowa czerwień na wargach i cienie na powiekach sprawiły, że Beth nie mogła poznać samej siebie.

- Nigdy nie myślałam, że mogę tak wyglądać...

- To jeszcze nic, dziecinko.

Z apetytem zabrały się do sałatek, wygłodzone po kilku godzinach pracy.

Popołudnie spędziły na omawianiu charakteru Beth, jej zwyczajów i zachowań; potem przyszedł czas na analizowanie szczegółów jej ubioru.

- Jesteś typem kobiety romantycznej, ale masz wielką potrzebę mocnych wrażeń. To dobre połączenie, łatwo jest dobrać oprawę. - Beth spojrzała na Morven z powątpiewaniem. - Wiem, co mówię. Popatrz tutaj.

Morven podała jej żurnal i zaczęła komentować poszczególne propozycje domów mody. Opory Beth z wolna ustępowały; Morven wybierała dokładnie te same modele, które wybrałaby sama, gdyby nie bała się śmieszności. I gdyby miała gdzie w nich bywać.

- To jest cudowne! - Beth wskazała czarną wieczorową suknię, bogato ozdobioną biżuterią. - Strasznie mi się podoba, ale tego przecież nie można włożyć do pracy!

- Szkoda - przytaknęła Morven i powoli odwróciła stronę. - Temu twojemu Dominikowi oczy wyszłyby na wierzch, gdyby cię w tym zobaczył. Ale to tutaj możesz śmiało włożyć; do tego buty na wysokich obcasach.

- Jestem o wiele za wysoka.

- Bzdura - odparła Morven. - Ja jestem tego samego wzrostu, co ty, i zawsze noszę buty na wysokich obcasach.

- Ty to co innego...

- Niby dlaczego? Masz świetną figurę, zgrabną, postawną...

- Zupełnie jak pani od gimnastyki - ironicznie dokończyła Beth.

- Masz doskonale nogi i będzie ci świetnie w butach na wysokich obcasach.

- Będę wyglądać wyzywająco i głupio.

- Głupio to ty wyglądasz w tych swoich płaskich pantofelkach. - Morven nie znała litości. - Wyglądasz jak taka paniusia, co to przeprasza, że urosła duża.

Beth już nie protestowała; wiedziała, że Morven zrobi z nią, co zechce. Modliła się tylko, żeby oszczędziła jej śmieszności.

- Jak on jest wysoki, ten twój Dominik? Beth zamrugła powiekami.

- Kto? On? Ma jakieś metr osiemdziesiąt, metr dziewięćdziesiąt, dokładnie nie wiem.

- Doskonale. - Morven uśmiechnęła się szeroko. - I o to chodzi. Możesz śmiało nosić buty na wysokich obcasach, nie urażając męskości pana i władcy. I tak będzie od ciebie wyższy.

- Naprawdę tak myślisz? Morven nie odpowiedziała.

- Kiedy kupisz to wszystko? - spytała zamiast tego.

- Co takiego?! - Beth oderwała wzrok od swych nieszczęsnych pantofli na płaskich obcasach i spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Weź sobie dwa dni wolne i kup kilka rzeczy od razu. Jak chcesz, mogę z tobą pójść.

Beth wiedziała, że kontrakt tego nie przewiduje, ale czuła, że jej rozmówczyni osobiście zaangażowała się w sprawę.

- Bardzo jestem ciekawa, jak to się wszystko skończy. - Morven wcale nie kryła podniecenia. - Chciałabym zobaczyć, jak się zamieniasz w barwnego motyla, a ten twój szef, w słup soli.

- Jak w ogóle mogło do tego dojść? - W głosie męża Jennifer Sullivan brzmiała gorycz. - Przecież była na obserwacji, pod stałym nadzorem.

Bardzo trudno było złożyć w spójną całość to, co mówili bliscy Jennifer. Wersja męża znacznie różniła się od relacji rodziców, a lawina dodatkowych, niewiele nowego wnoszących do sprawy szczegółów jeszcze zaciemniała obraz.

- Zreasumujmy fakty, muszę się zastanowić. - Beth przyłożyła rękę do czoła. - Jenny przebywała w szpitalu przez kilka tygodni z powodu silnej depresji. Ponieważ leki, które jej podawano, nie skutkowały, lekarz prowadzący zaproponował elektrowstrząsy. Pacjentka wyraziła zgodę mimo sprzeciwu męża, który obawiał się, że taka terapia to pranie mózgu.

Zauważyła, że matka Jennifer potakuje ruchem głowy.

- Mimo początkowego sprzeciwu wszyscy byli zdania, że po kilku zabiegach nastąpiła widoczna poprawa, w wyniku której chorą zwolniono do domu na weekend...

Urwała; w tym miejscu historia się komplikowała.

- W domu natychmiast zaczęła dołować - odezwał się Bill.

- Nieprawda - przerwał mu teść - czuła się całkiem nieźle, kiedy przyszliśmy w sobotę. To ty zacząłeś; dokuczałeś jej, zresztą sam wiesz najlepiej. To przez ciebie jej się pogorszyło, przedtem wszystko było w porządku.

- Racja - przytaknęła jego żona - tak było.

- W każdym razie - włączyła się Beth - wszyscy państwo zgadzają się z tym, że w niedzielę rano sytuacja była już taka, że Bill postąpił słusznie, odwożąc Jennifer do szpitala. Spojrzała na Billa. - I potwierdza pan, że

uprzedził pielęgniarki, że chora jest w stanie wskazującym na to, że może ponowić próbę samobójstwa.

Bill energicznie skinął głową.

Beth pomyślała, że dobrze się stało, iż postanowiła wysłuchać relacji rodziny, zanim powtórnie przejrzy szpitalną dokumentację. Mimo drobnych rozbieżności, wszystko zaczynało się składać w dość spójną całość.

- Jennifer została na oddziale i we wtorek rano doszło do tragedii. Pozwolono jej iść samej do toalety, a po piętnastu minutach zaniepokojona pielęgniarka...

Przerwała, nie wiedząc, jakimi słowami opisać to, co wydarzyło się później. Ojciec Jenny przyszedł jej z pomocą.

- Znaleźli ją dopiero po dwudziestu minutach; wisiała w jakimś kącie. - Jego głos drżał. - Przyszliśmy po południu na wizytę i wtedy powiedzieli nam... że Jenny... - Głos mu się załamał. - Nikt nam nie powiedział, jak to się stało, nic, tylko gołe fakty. Zadzwoniliśmy do Billa, ale go nie było. Jechał właśnie do szpitala, ktoś do niego zadzwonił i przekazał mu wiadomość.

Beth opuściła ich dom pod wrażeniem słów męża Jennifer: „Jak to się mogło stać?” Wiedziała, że pacjent ogarnięty manią samobójczą odbierze sobie życie, choćby pilnowano go dzień i noc, i nikt mu w tym nie przeszkodzi. Jenny Sullivan miała za sobą kilka nieudanych prób i Beth wiedziała, że prędzej czy później znów spróbuje odebrać sobie życie, bo jej determinacja jest silniejsza niż lęk przed śmiercią i instynkt samozachowawczy.

Cierpiała na ciężką depresję i mimo krótkich okresów poprawy przez większą część życia była nieuleczalnie chora. Co jakiś czas zmieniano jej leki, nie obserwując jednak wyraźnej poprawy stanu zdrowia. Na krótko przed śmiercią przeszła kurację litem.

Fatalizmem jednak nie można tłumaczyć zaniedbań żadnego rodzaju. Trzeba dokładnie przyjrzeć się okolicznościom, w jakich doszło do tragedii. Przypomniała sobie gorycz w głosie ojca Jenny, kiedy mówił o sposobie, w jaki

poinformowano ich o śmierci córki. Może właśnie dlatego rodzina oskarżyła personel szpitala o brak odpowiedniej opieki i lekceważący stosunek do chorych?

- Gdzie jest doktor Anderson?

Stała do niego tyłem i mógł widzieć jedynie jej włosy. Ciemne, starannie ułożone włosy, zaczesane za uszy, z których zwieszały się długie, srebrne kolczyki. Odwróciła się powoli na swoich bardzo wysokich obcasach i uśmiechnęła do niego.

- Witam. Jaką pan miał podróż?

Jego zachowanie przeszło jej najśmielsze oczekiwania.

- Beth? - zapytał niepewnym głosem - Co się... - Szybko się opanował i dodał już w swój zwykły sposób: - Podróż była doskonała, dziękuję, a teraz mam mnóstwo pracy. Za dwie godziny proszę do mnie przyjść i zreferować, co zaszło w czasie mojej nieobecności.

Odwrócił się i odszedł w kierunku swojego gabinetu.

- Tak jest! - krzyknęła w ślad za nim.

Z satysfakcją spostrzegła, że jego plecy drgnęły, i uśmiechnęła się do siebie.

Był to jedyny powód do satysfakcji, jaki miała tego dnia. Po początkowym szoku Dominik zachowywał się tak, jakby nic nie zauważył. Jakby nic się nie zmieniło. Beth była zdumiona; jest oczywiście bardzo zajęty, ale żeby tak nic, absolutnie nic... Nie do wiary.

Całe szczęście, że reszta szpitalnego personelu zdążyła się już oswoić ze zmianami, jakie ostatnio zaszły w jej wyglądzie, i nie musiała znosić wszystkich „ochów” i „achów” przy równoczesnej całkowitej obojętności Dominika. To byłoby zbyt absurdalne.

Została po godzinach, nie zwracając na to uwagi, bo odkąd zyskała kontrolę nad sobą, sprawa godzin pracy zeszła na dalszy plan. O wpół do siódmej Dominik wyszedł z gabinetu kompletnie wykończony.

- Mam dość - oznajmił. - I tak tego dzisiaj nie skończę.

- Wygląda pan na zmęczonego - powiedziała Beth, dostrzegając lekkie skrzywienie jego warg, gdy wypowiadała te słowa. - To pewnie ta podróż. Musi pan dziś wcześniej się położyć.

Rzucił jej wściekle spojrzenie, odwrócił się i ruszył korytarzem; po chwili usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Wolnym krokiem wróciła do siebie, czując się jak dziecko, które miało ostatnie słowo w rozmowie z nauczycielem.

Powstrzymała się siłą, żeby nie podskoczyć z radości. Dominik wrócił i teraz wszystko będzie dobrze. Ostatnio nauczyła się jednego: jeśli człowiek nad sobą popracuje, jeśli wypracuje sobie taki obraz samego siebie, na jaki go stać - rzeczywistość wokół niego zacznie się zmieniać i stanie się cud.

Dokładnie o jedenastej Beth stała pod drzwiami gabinetu szefa. Nadeszła godzina prawdy i miał się rozstrzygnąć jej los. Wzięła głęboki oddech i spróbowała się opanować.

Wygładziła krótką zieloną spódniczkę doskonale uszytego kostiumu. Na wysokich obcasach wyglądała naprawdę szczupło. Nie zastanawiając się dłużej, zapukała do drzwi.

Dominik rozmawiał przez telefon. Zawahała się w drzwiach, ale ruchem ręki wskazał jej krzesło po drugiej stronie biurka. Usiadła.

Była to najzupełniej prywatna rozmowa; doktor Farquhar umawiał się z kimś na weekend. Beth próbowała nie słuchać, ale mówił tak głośno i wyraźnie, że docierało do niej każde słowo. Po chwili nie miała już wątpliwości: robił to specjalnie! Chciał jej pokazać, jak bardzo ją lekceważy. Postanowiła nie zwracać na to uwagi i zachować zimną krew.

- Do widzenia, Marianne.

Marianne? To znaczy, że nie spotyka się już z Heleną? A myślała, że to coś stałego. Pani Graham też zdaje się tak myślała...

- A teraz, Beth - odłożył słuchawkę i uśmiechnął się - co panią do mnie sprowadza? Co jest aż tak ważne, że nie poszła pani na zebranie, tylko przyszła do mnie?

Uśmiechnęła się szeroko i szczerze.

- Nasza przyszłość, panie doktorze! O tym powinniśmy porozmawiać.

Wiedziała, że go zaskoczy, i nie zawiodła się. Sama zresztą była nieco zdziwiona własnymi słowami. Nie zamierzała powiedzieć tego w tak obcesowy sposób.

Poczuła na sobie jego przenikliwy wzrok, ale nie odwróciła oczu. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Wiedziała, że jest to pierwsza próba sił i że jeśli przegra tę rundę, Dominik zachowa swoją władzę nad nią. Wytrzymała jego spojrzenie i natychmiast zmienił taktykę. Jego oczy i rysy złagodniały, po czym odchylił się na krześle i wyciągnął nogi do przodu.

- Nasza przyszłość, Beth? Co pani ma na myśli?

Poczuła, że policzki jej czerwienieją, ucisk w żołądku potęguje się, a nogi same rwą się do ucieczki. W ostatniej chwili zdążyła pomyśleć, że to zachowanie stanowi część jego strategii. Dominik próbuje wyprowadzić ją z równowagi i prawie mu się udaje!

Kilka razy spokojnie odetchnęła i uśmiechem odpowiedziała na jego ironiczne spojrzenie. Teraz albo nigdy! Jeśli motyl naprawdę ma wydobyć się z poczwarki, musi to zrobić sam, o własnych siłach! Siedząc naprzeciw niego, czuła, że jego zachowanie ulega zmianie. Sardoniczny uśmiech gdzieś znikł, w miejsce pobłażliwości pojawiła się czujność i zaciekawienie.

- Słucham, Beth - rzekł poważnie.

- Myślałam o naszej ostatniej rozmowie i postanowiłam...

- Odejść - dokończył za nią tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Teraz on ją zaskoczył; tego się nie spodziewała. On chce, żeby odeszła! Wszystko na nic. Patrzył na nią obojętnym, pustym wzrokiem człowieka, którego nic nie jest w stanie poruszyć.

A jednak... Dopiero po dłuższej chwili spostrzegła, że kącik jego lekko skrzywionych ust nerwowo drży. Wcale nie jest tak opanowany, jak udaje, on też z trudem kontroluje swe zachowanie. A może po prostu jest pewien, że podjęła już decyzję, i chce jej odebrać satysfakcję z tego powodu. Postanowiła przejąć sprawy w swoje ręce.

- Nie, nie chcę odejść. Zostaję.

Przez sekundę miała niesamowite wrażenie, że odetchnął z ulgą.

- To bardzo dobrze - powiedział po chwili lekko schrypniętym głosem.

- Chcę tutaj zostać - ciągnęła pewniejszym już tonem - ale muszą zostać spełnione pewne określone warunki.

- Słucham.

Powiedział to swoim zwykłym głosem, tak jakby uznał, że wszystko wróciło do normy.

- Zawsze mnie pan wykorzystywał, byłam pana asystentką i wykonywałam za pana pracę. Postanowiłam z tym skończyć i skupić się na własnej.

- W porządku.

Nie sądziła, że pójdzie jej tak łatwo i szybko. Spojrzała na niego podejrzliwie: podstęp?

- Zamierzam napisać doktorat i wykorzystać w tym celu część moich dotychczasowych badań.

Niespokojnie poruszył się na krześle.

- Doktorat to bardzo ciężka praca.

- Wiem.

- Wydawało mi się, że pani uważa, że ma za dużo roboty.

- Myślałam tak, bo nie pracowałam dla siebie. Odwalałam cudzą pracę i nic z tego nie miałam. Teraz to będzie coś zupełnie innego. Będę pracowała na własne konto, mając przed sobą konkretny cel.

- Rozumiem.

Nie była tego całkiem pewna. Odczekała chwilę.

- Niech pani mi powie, dlaczego właściwie chce pani napisać doktorat?
Czego pani po tym oczekuje?

Wiedziała, że o to zapyta. Sama sobie zadawała to pytanie i nie bardzo była pewna, czy potrafi na nie odpowiedzieć.

- Praca jest dla mnie bardzo ważna - rzekła po namyśle. - Może jestem ambitniejsza, niż oboje przypuszczamy.

Ponieważ milczał, wyszła z przekonaniem, że po raz pierwszy to ona miała ostatnie słowo.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dokumentacja szpitalna zawierała szereg dodatkowych informacji na temat Jenny Sullivan. Pacjentka pozostawała pod ścisłym nadzorem, co zobowiązywało pielęgniarki do zaglądania do niej co piętnaście minut i sporządzania szczegółowych sprawozdań na temat jej zachowania.

Beth wyczytała, że rodzice odwiedzali Jenny codziennie, głównie po południu, a czasem dodatkowo wieczorem, wizyty Billa były natomiast mniej częste i regularne. Z notatek wynikało, że elektrowstrząsy znacznie poprawiły stan zdrowia chorej i wypisano ją do domu; mąż odwiózł ją z powrotem do szpitala w niedzielę.

Nie znalazła natomiast żadnej wzmianki, jakoby informował kogoś, że zachowanie żony wskazuje na zamiary samobójcze. Zapoznała się z opisem tego, co wydarzyło się w dniu, gdy Jenny odebrała sobie życie. Stan pacjentki kontrolowano już tylko co pół godziny i dlatego mogła sama udać się do toalety. Beth postanowiła porozmawiać z siostrą oddziałową i dowiedzieć się czegoś więcej.

Dominika spotkała w szpitalnej stołówce; wracał właśnie ze spotkania z ordynatorem oddziału, na którym przebywała Jenny.

- Rozmawiał ze mną jakoś tak wymijająco. - Dominik zaczął jeść chipsy, myślami błądząc gdzieś daleko.

- Z jakiego powodu? - Beth bez entuzjazmu sięgnęła po talerz. Jedzenie w stołówce nie było zbyt apetyczne.

- Nie wiem. - Zmarszczył brwi. - Pozornie wydaje się, że mamy do czynienia ze zwykłym niedopatrzeniem w opisie choroby, ale instynktownie czuję, że jest coś więcej niż bałagan w papierach - powiedział po chwili.

- Myśli pan, że to ma związek z doktorem Hendersonem?

- Wszyscy wiemy, że Henderson nie lubi roboty papierkowej. Nie zawiadomił komisji na piśmie, nie sporządził porządnego raportu, ale to nie dowód, że jego zaniedbanie przyczyniło się do śmierci pacjentki.

- Rodzice Jenny odebrali jego zachowanie jako lekceważący stosunek do tragedii, która ich dotknęła. Skarżyli się nie tylko na to, że zawiadomiono ich o śmierci córki w pięć godzin po fakcie, ale i na sposób, w jaki to zrobiono. To wszystko obudziło w nich podejrzenia, że personel szpitala ponosi winę za to, co się stało.

- Nie wiedziałem, że poinformowano ich o tym z takim opóźnieniem. Pięć godzin? Nieprawdopodobne.

- Też tak sędzę.

Zamyślili się oboje. Nic dziwnego, że rodzina Jenny jest rozżalona. Dominik skończył jeść i spojrzał na prawie nietkniętą potrawę stojącą przed Beth.

- Nie smakuje pani szpitalne jedzenie? W takim razie zapraszam panią dziś wieczorem na kolację.

Nie od razu zrozumiała jego słowa, pogrążona w myślach o Jennifer. Potem przez chwilę miała wrażenie, że się przesłyszała. Dopiero śmiech Dominika uzmysłowił jej, że on świetnie się bawi jej niedowierzaniem.

- Zaskoczyłem panią, Beth?

Opanowała się; przecież nie może słyszeć, jak wali jej serce.

- Wcale nie. Jestem po prostu nieco zdziwiona. Dlaczego mamy iść razem na kolację?

- A dlaczego nie? Wpadnę po panią wpół do ósmej.

Siostra Mary Lambert miała czas dopiero po południu i dlatego siedziały teraz w jej ciasnej dyżurce, próbując odtworzyć wydarzenia sprzed kilku dni. Z jej relacji wynikało, że Jenny była bardzo lubianą pacjentką.

- Dobrze ją znaliśmy, leczyła się u nas od lat. Czuwanie nad nią, kiedy miała nasilenie manii samobójczej, było oczywiście dość trudne, ale jakoś dawałyśmy sobie radę.

- Do czasu.

Mary Lambert drgnęła i Beth zrobiło się jej żal. Wiedziała, że pielęgniarki bardzo ciężko przeżyły śmierć Jenny, ale musiały przejść nad nią do porządku dziennego. Personelowi szpitalnemu nie wolno się rozczulać, musi natomiast starannie zanalizować każdy podobny przypadek, żeby na przyszłość ustrzec się ewentualnych błędów. Ciekawe, czy w przypadku Jenny jest coś więcej?

- Jak oceniasz jej rodzinę?

- Rodzice są w porządku. Dobrze ich znam. Stale do niej przychodzili; myśleli tylko, jak jej pomóc.

- A mąż?

Mary przez chwilę milczała.

- Właściwie go nie znam - powiedziała z lekkim ociąganiem. -

Przychodził rzadziej, więc... Ma dość agresywny sposób bycia, stale na kogoś krzyczał. Można powiedzieć, że nie był tu zbyt lubiany.

Beth postanowiła to zapamiętać; skoro tak było, personel będzie mógł podważać wiarygodność słów Billa.

- Oświadczył, że kiedy odwiózł żonę do szpitala, zwrócił uwagę dyżurnej pielęgniarki na fakt, że żona znowu przejawia wzmożone tendencje samobójcze. Nie zanotowano tego w karcie.

Siostra Lambert wyprostowała się; cała jej postać wyrażała urażoną dumą. Spojrzała na Beth z góry.

- W karcie nie ma o tym słowa, bo nikt nic takiego nie powiedział. Nasz personel nie pozwoliłby sobie na podobne zaniedbanie.

Beth zaczęła składać papiery.

- Dziękuję siostrze za pomoc. Pozwolę sobie jeszcze się do siostry zwrócić.

Czuła się jakoś niewyraźnie; coś tu się nie zgadza...

- Doktor Anderson?

Rozejrzała się zdziwiona; myślała, że nikogo na korytarzu nie ma. Mała skurczona figurka oderwała się od ściany i skradając się, podeszła do niej.

- Czy my się znamy? - W postaci starej kobiety dostrzegła coś znajomego.

- Znamy się, a jakże. Pamiętam, jak była pani taką młodziutką praktykantką, a teraz, proszę, jest pani ważną panią doktor.

Beth roześmiała się, teraz i ona wiedziała, z kim ma do czynienia.

- Dziękuję, pani Bell, to bardzo miło z pani strony.

Już miała dodać konwencjonalne „a co u pani słychać?”, kiedy się powstrzymała. Na korytarzu szpitala psychiatrycznego podobne pytanie mogłoby zabrzmieć dość niezręcznie.

- Przyszła tu pani w sprawie tej biednej Jenny, prawda? - Martha Bell od razu przeszła do sedna sprawy.

W szpitalu nic się nie dało ukryć.

- Dlaczego tak pani myśli?

Pani Bell mówiła dalej, niezrażona pytaniem Beth.

- Mogłabym wiele opowiedzieć o tej sprawie... - szepnęła tajemniczo.

Rozległy się czyjeś kroki i obie się obejrzały; szła ku nim siostra Lambert.

- Dlaczego pani przeszkadza pani doktor? - zapytała podniesionym głosem.

Pani Bell nie stropiła się. Stała naprzeciw postawnej postaci w białym fartuchu, mała, niepozorna, zadziorna i na wszystko zdecydowana.

- Nikomu nie przeszkadzam, siostrze. Jesteśmy z panią doktor starymi znajomymi, znamy się od lat - oznajmiła niewinnym głosem. - Właśnie chciałam się umówić na wizytę u pani doktor, mam chyba prawo?

- Owszem, ale z zachowaniem odpowiednich formalności. Najpierw trzeba...

Beth poczuła, że powinna interweniować.

- Skoro już tutaj jestem, mogę zaraz porozmawiać z panią Bell. Naprawdę znamy się od lat.

Nie uszedł jej uwagi ani porozumiewawczy uśmiech pani Bell, ani skrzywienie na niewzruszonej dotąd twarzy siostry przełożonej.

Domofon zadzwonił w chwili, kiedy wkładała duże srebrne kolczyki. Poszła do korytarza i podniosła słuchawkę. Głos miała spokojny, w sercu zamęt.

- To ja, Dominik.

Nacisnęła guzik, żałując, że w ogóle przyjęła zaproszenie i zgodziła się iść z nim na kolację.

Miał do pokonania dwa piętra, więc zdołała się opanować i przybrać odpowiedni wyraz twarzy. Kiedy stanął w progu, zobaczył przed sobą wytworną damę w czarnej, obcisłej i wydekoltowanej sukni, w niczym nie przypominającej dawnej doktor Anderson.

Wszedł i rozejrzył się, nie próbując nawet ukryć zdziwienia. Przez chwilę miał wrażenie, że pomylił piętra. Wnętrze, które ujrzał, nie miało nic wspólnego z tak dobrze mu znaną Beth. Nie miało też wiele wspólnego z „nową” Beth, z którą ostatnio współpracował. Doskonale natomiast pasowało do kobiety, która przed nim stała. Było tak samo wytworne, interesujące i tajemnicze.

- Co się stało, panie doktorze? - Beth spojrzała na niego pytająco. Nigdy dotychczas nie zauważył, jaki ona ma zmysłowy głos...

- Mam na imię Dominik - powiedział bez sensu, bo ostatnio czasem się tak do niego zwracała. - Masz bardzo ładne mieszkanie.

Odchrząknął. Zdał sobie sprawę z tego, że na razie nie widział nic poza korytarzem. Zapowiada się interesująco...

Wszedł do salonu; wewnątrz było przytulne, a jednocześnie nieco ekstrawaganckie, tak jakby solidność wiktoriańskiego mieszkania mieszała się z wyrafinowaniem i subtelnością jego właścicielki. Było w tym coś niepokojącego i zmysłowego. Nigdy nic podobnego nie kojarzyło mu się z doktor Anderson. Ujrzał swoje odbicie w dużym secesyjnym lustrze; miał minę człowieka, który nic nie rozumie. Beth stała obok, patrząc na niego wyrozumiale.

- Wyprowadziłaś mnie w pole - powiedział. - A teraz już chodźmy.

Niezupełnie zrozumiała, lecz w duchu przyznała mu rację: nie ma co przedłużać tej sytuacji. Wzięła małą torebkę ze stolika i podeszła do drzwi. Była absolutnie przekonana, że wieczór zakończy się klęską.

W godzinę później nieco zmieniła zdanie. Siedziała w małej włoskiej restauracji i czuła się doskonale.

- Dlaczego się uśmiechasz? - wyrwał ją z zamyślenia głos Dominika.

Właściwie żałowała, że tak pochopnie przeszła z nim na ty, co niepotrzebnie zmniejszyło dystans pomiędzy nimi. Dlaczego zależało jej, żeby go nie zmniejszać, nie wiedziała...

- Uśmiechnęłam się do swoich myśli, tutaj jest tak miło. Nie był zadowolony z jej odpowiedzi.

- Dziwny powód. Ty sama jesteś dziś jakaś dziwna.

- Co masz na myśli?

Odstawiła kieliszek i spojrzała na niego, żalując, że zadała to pytanie. Odpowiedź mogła okazać się dość krępująca. Postanowiła więcej nie pić; miała policzki zaczerwienione od wina, a to mogło robić wrażenie, że się czegoś wstydzi albo czuje się winna.

- Tak sobie miło rozmawiamy - zaczął - niby o wszystkim, a jednak starannie unikasz rozmowy na każdy poważny temat.

Jego spojrzenie oplotło ją swoją siecią i na moment straciła wątek.

- Nie wiedziałam - odparła szybko - że będziesz chciał mówić o sprawie Jennifer Sullivan...

Natychmiast jej przerwał.

- Beth, na miłość boską! Nie przyprowadziłem cię tutaj, żeby mówić o pracy.

W takim razie dlaczego? - pomyślała, ale na szczęście nie powiedziała tego głośno. Dominik zresztą nie dopuścił jej do głosu.

- Chciałbym się o tobie dowiedzieć czegoś więcej. Pracujemy już razem kilka lat i nic o tobie nie wiem.

Przerwał i spojrzał na nią, ale Beth milczała. Miała ochotę zerwać się z krzesła i uciec, uciec jak najdalej, nie oglądając się za siebie. Nie miała jednak żadnych szans; nie uszłaby daleko na swoich wysokich obcasach i Dominik natychmiast by ją dogonił.

Była pewna, że nie pozwoliłby jej odejść. Nie jest typem mężczyzny, który pozwala kobiecie odejść ot tak, z własnej woli. Uśmiechnęła się do niego, próbując ukryć zdenerwowanie. Przecież do niczego nie może jej zmusić! Nic mu o sobie nie powie, jeśli nie zechce tego zrobić! Podejrzenie, że Dominik może ją zmusić do wszystkiego, sprawiało jej dojmującą przykrość.

- Jakie to ma znaczenie? Dobrze nam się razem pracuje, prawda? To najważniejsze - powiedziała, żeby przerwać niezręczne milczenie. - Ja też nic o tobie nie wiem i nie uważam tego za niewłaściwe.

Przypomniała sobie Helenę Graham i tę Marianne...

- Naprawdę tak myślisz? Naprawdę jesteś taka zimna i opanowana, Beth?

Przesunął wzrok z jej twarzy na dekolt.

- Zimna to może niefortunne określenie...

Rozejrzała się, jakby szukała ratunku. Jej wzrok padł na włoskiego kelnera; młody człowiek natychmiast podszedł do stolika.

- Jak państwu smakowały nasze grzyby? - zapytał, patrząc na nią z podziwem.

Zdała sobie sprawę, że nawet nie wie, że jadła grzyby. W każdym razie była bardzo daleka od delektowania się smakiem potraw.

- Doskonale - uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Dominik skrzywił się i z wyraźną niecierpliwością czekał, aż kelner odejdzie.

- Od jak dawna masz to mieszkanie? - zapytał potem, nagle zmieniając temat. To nie było pytanie osobiste, przynajmniej pozornie. Postanowiła wykorzystać je do maksimum. Jeśli sobie wymyślił, że wyprowadzi ją w pole, na chwilę osłabi czujność pozornie niewinnym pytaniem, a potem znowu zaatakuje - to się myli! Już ona opowie mu wszystko o swoim mieszkaniu...

Zaczęła nudną, skomplikowaną opowieść o najmie i wykupie, o zepsutym dachu i nowym domofonie, o skomplikowanej sytuacji na parkingu i niełatwym kontakcie z administratorem budynku. Dominik słuchał, wyraźnie zainteresowany, w niczym nie zdradzając zniecierpliwienia. Tak jakby wprowadzała go w najtajniejsze zakamarki swej duszy... Przez chwilę miała wrażenie, że znowu ją przechytrył. Jako psychiatra wiedziała, że każda, nawet najbardziej błaha rozmowa może być skarbnicą informacji. Wystarczy tylko uważnie słuchać i obserwować.

- Najgorzej z tym dachem. Kiedyś budzę się, a tu woda kapie mi na głowę - zakończyła z udanym ożywieniem. - A innym razem oderwał się kawałek okapu i po prostu spadł.

- Mógł cię zranić albo nawet zabić.

Roześmiała się, słysząc w jego głosie prawdziwy niepokój.

- Mój anioł stróż musiał być obok i na to nie pozwolił. Zresztą Bob zaraz przyszedł i wszystko załatwił. Poleciał mi świetnego stolarza, chociaż trzeba przyznać, że niezbyt taniego.

Dominik zmarszczył brwi.

- Jaki Bob? Bob Muir, nasz kolega z pracy?

- Tak - przytaknęła ochoczo, nie dostrzegając jego niezadowolenia. Wino zadziało i czuła się doskonale, swobodna i rozluźniona. - Nie wiem, jak bym sobie bez niego poradziła.

- Wiedział, że masz problemy z mieszkaniem?

- Oczywiście, właśnie dlatego...

- A ja nie miałem o niczym pojęcia. Dopiero teraz usłyszała gniewny ton jego głosu.

- No, nie... - Jak mógł cokolwiek wiedzieć, skoro niczym się nie interesował?

Nie wiedział. Wiedziała, że nie wiedział. A on wiedział, że ona o tym wie. Dziwne? I skomplikowane pod względem logiki.

- Dlaczego? Dlaczego Bob wie o tobie coś, o czym ja nie mam pojęcia? Co jest takiego w Bobie, czego mnie brakuje?

Beth zamruwała powiekami. O co mu chodzi? Czyżby... Nie, bzdura. Sięgnęła po kieliszek i upiła łyk wina. Postanowiła nie wgłębiać się w problem, którego rozwiązanie na razie przekraczało jej możliwości intelektualne. Lepiej będzie się skupić na konkretach.

- Zwróciłam się do Boba - wyjaśniła uprzejmie - bo wiedziałam, że ma podobne kłopoty z mieszkaniem.

- A skąd o tym wiedziałaś? - Zadał to pytanie takim oskarżycielskim tonem, że zupełnie się zgubiła.

- Jak to skąd? Wszyscy o tym wiedzieli. Bob bez przerwy opowiadał o rynnie, dachu, ciekących oknach i drzwiach od piwnicy. Wszyscy przed nim uciekali... Na pewno coś słyszałeś.

Dominik spojrział na nią lodowato.

- Nie, nie słyszałem. - Potem nagle wyraz jego twarzy złagodniał, jakby burza minęła. - I bardzo cię przepraszam za całą tę rozmowę. Zdałem sobie sprawę, że nie tylko o tobie nic nie wiem. Nie wiem nic o ludziach, z którymi pracuję.

Wyglądał na przygnębionego i Beth postanowiła coś zrobić.

- Nie musisz. Jesteś dyrektorem, wcale nie musisz...

- ...interesować się ludźmi.

- Tego nie powiedziałam. Po prostu masz zbyt dużo spraw na głowie, żeby słuchać opowieści o domowych kłopotach swoich pracowników.

Pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Może tak, a może nie. Może to ludzie nie chcą ze mną rozmawiać, może wolą trzymać się na dystans... Ty też chcesz utrzymać dystans między nami, Beth?

Otworzyła lekko usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Gdy oblizła wargi, patrzył na nią zafascynowany.

- Odpowiedz. Zależy ci na dystansie między nami?

Ujął jej dłoń. Beth chciała mu powiedzieć, że nie, wcale nie zależy jej na żadnym dystansie, wręcz przeciwnie... i nagle oprzytomniała. Nie wyrwała jednak ręki.

- Ależ skąd - odparła opanowanym, uprzejmym głosem - przecież razem pracujemy. Ludzie, którzy współpracują, muszą mieć dobry kontakt, tak jest łatwiej. To chyba oczywiste. Zawsze tak było i nic nie wskazuje na to, żeby cokolwiek miało się zmienić.

Zawiedziony puścił jej rękę i natychmiast zapragnęła, żeby ujął ją znowu. Dla większej pewności, by ukryć drzenie, zaczęła bawić się serwetką.

Na szczęście całkowicie zmienił ton i stał się znowu dawnym doktorem Farquharem, którego tak dobrze znała. Z obojętną, nieco ironiczną miną zaczął przemawiać w sposób, który całkowicie ją uspokoił.

Po chwili sądziła już nawet, że poprzednia scena tylko jej się przyśniła albo przywidziała. Przez krótki czas miała przecież wrażenie, że Dominik z nią flirtuje, uwodzi ją, próbuje poderwać... Jak coś podobnego mogło jej przyjść do głowy? Jest przecież otoczony pięknymi, błyskotliwymi kobietami, z którymi ona nie może się równać! Zdobywa je z łatwością i z łatwością porzuca. Beth doskonale je rozumiała; teraz, kiedy poznała jego możliwości, wiedziała już, dlaczego żadna nie może mu się oprzeć. Powinna uważać i zachować czujność.

To, że całkowicie zmieniła swój wygląd, to nie wszystko. W środku pozostała dawną Beth, zwyczajną doktor Anderson, która nie wierzy we własne siły. Motyl nie wyfrunął z poczwarki, przesłonił ją tylko. Postanowiła mieć się na baczności; Dominik jest jej szefem i tak powinna go traktować.

Słuchała jego głosu, nie bardzo rozumiejąc słowa, zadowolona i uspokojona tym, że wszystko wróciło do normy i nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

Dlatego wydało jej się zupełnie naturalne, że odprowadził ją pod same drzwi i wyjął jej z ręki klucze. Wszedł za nią do środka i zamknął za sobą drzwi. Dopiero gdy poczuła jego ręce na swoich ramionach, kiedy pomagał jej zdjąć płaszcz, zrozumiała, że ją przechytrył. Znalazł się w jej mieszkaniu bez pytania, bez zaproszenia, po prostu postawił na swoim. Uspił jej czujność i wyprowadził w pole.

Przerażenie w jej oczach musiało być chyba widoczne, bo uśmiechnął się do niej uspokajająco, po przyjacielsku.

- Poczęstujesz mnie kawą? Bądź dobrą dziewczynką.

Poszedł prosto do salonu i usłyszała, że nastawia płytę.

Kiedy wróciła, zobaczyła, że siedzi na kanapie w rozluźnionym krawacie i rozpiętej pod szyją koszuli. Zupełnie jak u siebie w domu...

Postawiła filiżanki na małym stoliczku.

- Dobra dziewczynka.

Nie znosiła tego rodzaju określeń.

- Nie jestem dziewczynką.
- Tak ci się tylko wydaje - powiedział i uśmiechnął się pobłaźliwie. -

Przecież jesteś ode mnie młodsza.

- Bardzo niewiele - poprawiła go chłodno.
- Wyglądasz dziś wieczór cudownie.
- Nawet jeśli to prawda, jakie to ma znaczenie?
- Dlaczego mówisz do mnie takim tonem? Chcesz się kłócić? Dlaczego?

W jego zachowaniu była taka pewność siebie, tak całkowicie kontrolował sytuację, że poczuła do niego niechęć. To jest jej dom i to ona powinna czuć się pewna na swoim własnym gruncie, a tymczasem... denerwowała się, bo nie miała pojęcia, jak się zachować. Roześmiała się z przymusem.

- Nie lubię po prostu, jak ktoś nazywa mnie dziewczynką. Nigdy tego nie robiłeś.

- Ale zmieniłaś się, Beth. Chciałaś być inna, i jesteś inna. Musisz się liczyć z tym, że mężczyźni zaczną cię teraz inaczej traktować.

- Biorę to pod uwagę, co w niczym nie zmienia faktu, że w dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego nazywasz mnie dziewczynką. Nie jestem dziewczynką.

- A kim jesteś, Beth?

- Jestem kobietą.

Zrozumiała, że wpadła prosto w pułapkę, którą na nią zastawił.

Zapanowało niezręczne milczenie. Czowała na sobie uważny wzrok Dominika; zaczerwieniła się i zacisnęła dłonie tak silnie, że wbiła sobie paznokcie w skórę.

Nie zauważyła, kiedy muzyka nagle umilkła.

Poczuła, że ogarnia ją dziwna senność i ociężałość. Nie była w stanie wykonać żadnego ruchu; ręce i nogi miała jak z ołowiu, w głowie pustkę i niepokój w sercu. Głos Dominika dobiegł do niej jakby z wielkiej odległości.

- Naprawdę jesteś kobietą, Beth?

Jego słowa wyrwały ją z odrętwienia. Poczuła, że krew napływa jej do twarzy.

- Jestem prawie w twoim wieku - powiedziała zmienionym głosem.

- Nie to miałem na myśli i dobrze wiesz, o co mi chodziło.

Nie zauważyła, kiedy usiadł przy niej.

Czas i przestrzeń najwyraźniej płatały jej figle; nie zauważyła, kiedy się poruszył, ujął ją za ramiona i zwrócił ku sobie. Czuła się bezwolna i niezdolna do sprzeciwu. Pochylił ku niej głowę, jego cień zasłonił światło lampy. Zasłonił wszystko.

- Zaraz się przekonamy, czy to prawda - szepnął i dotknął ustami jej warg.

Zaskoczenie i zdumienie sytuacją, w której się znalazła, ustąpiły i Beth poczuła, że jej ciało odpowiada na jego wezwanie. Objęła go i zaczęła całować. Od dawna nikogo tak nie całowała i to, co w tej chwili odczuwała, oszołomiło ją. Opadła na kanapę, czując na sobie jego ciało. Wtedy przypomniała sobie tamte kobiety: Helenę i tajemniczą Marianne...

- Nie. - Odepchnęła go i odwróciła głowę. To nie ma sensu. To tylko jej ciało pragnęło jego pocałunków, to tylko jej piersi, jej dłonie, jej usta... Rozum nie miał z tym nic wspólnego; rozum podpowiadał, że postąpi słusznie, odrzucając tego mężczyznę.

Ten mężczyzna jednak wcale nie robił wrażenia odrzuconego. Uśmiechał się lekko, z satysfakcją, mrużąc oczy, wygodnie oparty na poduszkach kanapy.

- To była odpowiedź na moje pytanie... - rzekł powolnym, zamyślonym głosem.

Wiedziała, że nie będzie miała ostatniego słowa, ale postanowiła nie poddawać się łatwo. Nagle ogarnął ją duch walki, o którego istnienie nawet siebie nie podejrzewała. Spojrzała na niego spod przymkniętych powiek.

- A jakie było pytanie? - mruknęła niewinnie.

Jakiś cień zmącił jasne spojrzenie Dominika i przez chwilę sądziła, że naruszyła nieco jego pancerz.

- Pytałem, czy jesteś prawdziwą kobietą - odparł opanowanym już tonem.

- Twoja odpowiedź wskazuje na to, że jesteś małą, przestraszoną dziewczynką.

Znowu panował nad sytuacją i widać było, że ta świadomość sprawia mu przyjemność.

- Może odpowiedź zależy od mężczyzny - rzuciła swobodnie, kładąc nacisk na ostatnim słowie.

Chciała sprawić mu przykrość i udało się. Ogarnęło ją uczucie irracjonalnej przyjemności. Miło było widzieć złość w jego oczach i nerwowe drżenie kącika ust. Nie rozumiała własnych uczuć: może chodzi jej o to, że zdenerwowany Dominik jest mniej groźny niż uwodzicielski?

- Robertowi odpowiadasz inaczej, prawda? - syknął przez zęby. - Przecież wiesz, że ja też mogę...

Poczuła jego dłonie na ciele i odepchnęła go.

- Tak ci się tylko wydaje...

- Mogę.

Postanowiła na razie niczego nie wyjaśniać; uznała, że tak będzie bezpieczniej. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili:

- Osoby, które razem pracują, nie powinny się uczuciowo angażować. Przecież wiesz.

- Angażować? Co masz na myśli?

Odsunęła się od niego, czując, jak jej serce zamienia się w bryłę lodu. Usiadła sztywno wyprostowana, jakby w ten sposób chciała odgrodzić się od niego raz na zawsze.

- Moglibyśmy po prostu spędzić z sobą miłe chwile, Beth. To w niczym nie naruszyłoby naszych dobrych stosunków w pracy.

Każde jego słowo raniło ją jak uderzenie; sama nie wiedząc kiedy, stanęła nad nim, patrząc na niego z góry.

Łagodne światło lampy odbijało się w jego połyskujących czasem siwizną włosach i poczuła ochotę, żeby ująć jego głowę i pocałować. Na wszelki wypadek splotła dłonie na piersiach.

- Chyba powinieneś już iść - powiedziała spokojnie. Wstał bez słowa sprzeciwu, jakby tylko na to czekał.

- Przestraszyłaś się i uciekasz? - zapytał i zobaczyła w jego oczach przekorę. - Pójdę, ale wiesz równie dobrze jak ja, że gdybym zechciał, mógłbym zostać. Między nami na tym się nie skończy.

W kilka godzin później, kiedy wreszcie uspokoiła się i przestała płakać, zaczęła się zastanawiać, co ją tak bardzo zraniło. Przecież Dominik jej nie oszukiwał. Wiedziała, że ma inne kobiety, widywała je. Nigdy dotychczas tak się wobec niej nie zachowywał, to prawda, ale przecież zmieniła się i mogła się spodziewać zmian i w jego zachowaniu. Cóż on takiego właściwie zrobił? Pocałował ją, to wszystko. Nic strasznego. Dlaczego w takim razie robi z tego taką tragedię? Łzy napłynęły znowu i postanowiła odłożyć analizę na później. Nie miała pojęcia, gdzie leży przyczyna i dlaczego płacze. To wszystko jest bez sensu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Słucham panią - rzekła Beth.

Nie spodziewała się wiele; cóż takiego mogła jej powiedzieć Martha Bell? Relacje pielęgniarek, opiekujących się Jennifer, były spójne i wyczerpujące; nie należało się spodziewać żadnych rewelacji. Dominik musi poważnie porozmawiać z doktorem Hendersonem; dopiero to może coś wyjaśnić.

- Nie wiem, od czego zacząć. - Drobna, pomarszczona twarz starej kobiety wyrażała skupienie i namysł.

Beth bez słowa spokojnie czekała. Martha jakby zrozumiała, że nie ma co liczyć na pomoc, i po chwili rozpoczęła opowieść.

- W tym wszystkim najważniejszym problemem był jej mąż, tak jak zwykle. Mój, na przykład...

- Mąż Jenny Sullivan? Bill? - przerwała jej Beth, nie chcąc dopuścić Marthy do zwierzeń na temat własnego małżeństwa.

- Tak. Bił ją i strasznie się nad nią znęcał.

- Jest pani pewna? - W dokumentacji choroby nie było na ten temat najmniejszej wzmianki i chociaż Beth nie lubiła tego faceta, nie chciała zbyt pochopnie go oskarżać.

- Oczywiście, nieraz o tym rozmawialiśmy. Od lat spotykałyśmy się tutaj; najpierw ja opowiedziałam jej o moim Harrym, a potem ona nabrała do mnie zaufania i też zaczęła mówić.

- Dlaczego nie wspomniała o tym nikomu? Żadnej pielęgniarce, lekarzowi? - To nieprawdopodobne, żeby tak długo można było ukrywać fakt przemocy. - Przecież...

- Pani tego nie rozumie - przerwała jej Martha. - Ona myślała, że to jej wina, że zasłużyła na takie traktowanie.

- Ale...

- On jej to wmówił. Mówił, że jest do niczego nieprzydatna i tylko niepotrzebnie zajmuje miejsce na ziemi, że najlepiej byłoby, gdyby umarła i dała wszystkim spokój.

- Chce pani powiedzieć, że zachęcał ją, żeby...

- Nic takiego nie powiedziałam! - Martha zamachała rękami. - Myślę tylko, że nie zrobił nic, żeby ją powstrzymać. - Zmęczone oczy Marthy rozbłysły gniewem.

- Sądzi pani, że mąż Jenny powiedział pielęgniarce, że żona przejawia nasilenie myśli samobójczych?

Martha przez chwilę milczała, a potem pokręciła głową.

- Nie. Sądzę, że byłby szczęśliwy, gdyby zeszła mu z drogi.

- Nie masz żadnych dowodów na potwierdzenie jej słów.

Siedzieli w małym pomieszczeniu na tyłach oddziału psychiatrycznego i zastanawiali się, jak potraktować informacje dostarczone przez Marthę Bell. Dominik był sceptyczny.

- Nie, ale...

- Nie ma śladu podobnych sugestii w żadnej z wypowiedzi, jakich dotychczas wysłuchaliśmy.

- Może nikt nic nie zauważył? Pacjentka sama się nie skarżyła i...

- Może, może. Może to, może tamto. A może po prostu Jenny kłamała albo kłamie ta twoja Martha.

- Nie! To niemożliwe - zaprzeczyła stanowczo Beth.

- Skąd ta pewność? Wykazujesz zdumiewającą łatwowierność; zawsze tak chętnie godzisz się z opinią, że mężczyźni to skończeni łajdacy?

- Nie widziałeś Billa Sullivana. Wygląda jak...

- ...typowy łajdak? Daj spokój, Beth. Wiesz przecież, że nic takiego nie istnieje.

- Rodzice Jenny go nie lubią, chyba to o czymś świadczy.

- Moi teściowie też za mną nie przepadali, co wcale nie znaczy, że biłem swoją żonę.

Beth drgnęła.

- Nie wiedziałam, że byłeś żonaty.

- A powinnaś wiedzieć?

Bardzo się chciała dowiedzieć czegoś o jego małżeństwie, a przede wszystkim dlaczego teściowie nie żywili do niego sympatii, ale nie mogła o to pytać. To nie jest właściwy czas ani miejsce. Ciekawe, od jak dawna jest rozwiedziony. A może nie ma rozwodu, tylko żyje w separacji? A może jego żona umarła?

- Masz jakiś inny dowód przeciwko Billowi Sullivanowi niż to, że go nie lubisz?

- Nie.

- W takim razie zapytam jeszcze raz: zawsze tak łatwo cię do wszystkiego przekonać?

Schylła głowę.

- Rozumiem. Nie mam nic konkretnego, ale myślałam, że to lepsze niż nic.

- To w dalszym ciągu nic.

- Przecież...

Wzrokiem przywołał ją do porządku.

- Beth, spójrz na to trzeźwo. Nawet jeśli ją bił, to jej nie zabił. Nawet jeśli nie powiedział pielęgniarce, że jest gotowa odebrać sobie życie, nigdy mu tego nie udowodnimy. On mówi jedno, one drugie. Nie ma żadnych śladów jakiegokolwiek przymusu. Pacjentka sama wyraziła zgodę na elektrowstrząsy, jej matka mówi, że nigdy nie zgłaszała sprzeciwu. Miała podobne zabiegi w przeszłości i wierzyła, że jej pomogą.

- Co w takim razie zrobimy? - Beth czuła się bezradna i zawiedziona; to, że Dominik miał rację, nie było wcale pocieszające.

- Dlaczego tak bardzo zaangażowałaś się w ten przypadek? - zapytał pozornie obojętnie, ale wyczuła, że odpowiedź naprawdę go interesuje. - Dlaczego z góry zakładasz, że ten człowiek jest zdolny do podobnej nikczemności? Przecież wiesz równie dobrze jak ja, że takie samobójstwa się zdarzają, że choroba Jenny predestynowała ją do podobnych zachowań. Przedtem uważałaś to za normalne; co się takiego stało, że zmieniłaś zdanie?

Zmarszczyła brwi i spojrzała gdzieś poza jego głowę, udając, że się namyśla. W historii Jenny było coś, co dziwnie ją pociągało, jakaś wspólnota losów, nieuchwytna i ulotna, sprawiająca, że ta kobieta była jej bardzo bliska.

- Jenny Sullivan znajdowała się pod stałą kontrolą, stale ktoś z nią rozmawiał, obserwował jej zachowanie. Naprawdę myślisz, że gdyby była ofiarą przemocy, nikt by tego nie zauważył?

Skinęła głowę.

- Chyba masz rację.

- Nigdy nikomu nie wspomniała, że jest maltretowana. Może warto zająć się w takim razie autorką tych rewelacji. Co wiesz o pani Bell?

Z trudem przypomniawszy sobie jakieś strzępy informacji. Martha Bell cierpiała na paranoję, była maltretowana przez męża i miała manię prześladowczą. Nie można wykluczyć, że rozciągała swoje doświadczenia na życie innych pacjentek. Tak, tego nie można wykluczyć.

- Beth! - Dominik patrzył na nią z sympatią, bez ironii i zwykłej pewności siebie. - Zawsze jeszcze pozostają zaniedbania w sprawach papierkowych...

- I opóźnienie, z jakim zawiadomiono rodziców pacjentki.

- I jej męża.

- Tak, i męża. I sposób, w jaki to zrobiono.

- Zrzucimy Hendersonowi zaniedbania w prowadzeniu dokumentacji i niezadowolający kontakt z rodziną pacjentki. Jest dobrym psychiatrą, ale dość się już nasłuchałem skarg od pacjentów, że traktuje ich jak przedmiot. Trzeba go będzie trochę postraszyć. - Uśmiechnął się do Beth i porozumiewawczo mrugnął okiem. Wydał jej się nagle bardzo młody i chłopcący. Utkwiła wzrok w jego śmiejących się ustach i przypomniała sobie...

- I to wszystko? Pocałował cię i już? I o to tyle krzyku? - Cassie ze zdumieniem uniosła brwi.

- Gdyby nie było problemu, nie opowiadałabym ci o tym. Widać to dla mnie ważne - odparła Beth z niewzruszoną logiką.

Nie od razu zrelacjonowała Cassie przebieg tamtego wieczoru, ale ponieważ Dominik ostatnio zachowywał się tak, jakby nic między nimi nie zaszło, postanowiła usłyszeć w tej sprawie zdanie przyjaciółki. Może myli się, przywiązując tak wielką wagę do czegoś, co w rzeczywistości jest bez znaczenia?

Cassie najwyraźniej właśnie tak uważała.

- Z drugiej jednak strony... - Ugryzła ciasteczko, przełknęła i dodała: - To zupełnie do niego nie pasuje, Beth.

- Zupełnie jak Jekyll i Hyde, kompletne rozdwojenie osobowości! - Beth była bardzo podekscytowana.

- Chyba trochę przesadzasz.

Beth nie odpowiedziała. Ona też sięgnęła do talerza.

- Chyba przesadzasz - powtórzyła Cassie.

Patrzyła na nią jakoś dziwnie, tak jakby czekała, aż przyjaciółka powie coś, co odpowiednio naświetli całą sprawę.

- To było takie nieoczekiwane, takie... - Beth przerwała, widelec zawisł nad talerzykiem.

- ...podniecające - podsunęła Cassie z nadzieją w głosie.

- Nie! - Beth zaprzeczyła może nieco zbyt gorliwie.

- Miłe?

- Nie!

- Za krótkie?

- Co? - Beth spojrzała na przyjaciółkę ze zgorzeniem.

- Nie chciałaś, żeby przerywał? O to chodzi? Dręczy cię, że tak łatwo zrezygnował?

- No wiesz! - Beth zaczerwieniła się gwałtownie i pomyślała, że nie zachowuje się zbyt wiarygodnie. Teraz, kiedy Cassie już to powiedziała, trzeba rozpatrzyć i taką ewentualność.

Zwłaszcza że Dominik traktuje ją tak jak dawniej: obojętnie i z wyższością, po prostu jak podwładną, jak jednego z lekarzy, z którymi musi współpracować. Ich wspólna wizyta na oddziale psychiatrycznym, gdzie leczyła się Jenny, była tylko epizodem. Potem już właściwie nie rozmawiali.

- Napijmy się jeszcze kawy i chodźmy po zakupy - zaproponowała Cassie. - I tak nic nie wymyślimy.

Beth rozejrzała się. Siedziały w kawiarni największego w Glasgow magazynu z wyrobami artystycznymi, szkłem, lustrami, meblami i innymi przedmiotami wchodzącymi w skład wyposażenia domowego. Spojrzała na przepływający za szybą tłum.

Coś nagle przykuto jej wzrok, tak jakby różnobarwna plama uległa rozproszeniu, pozostawiając w polu widzenia jedną tylko postać. Poczowała bicie serca i żar na policzkach. Potem nagle zbladła.

Dominik stał, szukając wzrokiem wolnego stolika. Towarzyszyła mu kobieta niezwyklej urody. Szybkim krokiem podeszli do zwolnionego właśnie miejsca i kobieta z wdziękiem opadła na krzesło. Siedziała naprzeciw Beth i ta mogła ją sobie dokładnie obejrzeć. Była naprawdę prześliczna; czarne krótkie włosy aureolą otaczały twarz o nieskazitelnych rysach; drobna, zgrabna postać odziana była w błękitny kostiumik, podkreślający szczupłość sylwetki, porcelanowogładka cera miała w sobie ciepło dojrzewającej brzoskwini.

- Na co tak patrzysz?

Cassie od dłuższej chwili ciągnęła ją za mankiet.

- Na nic. Dlaczego pytasz?

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Co się stało?

- Właśnie przyszedł Dominik. Siedzi tu obok z jakąś kobietą. Nie wiem, kto to jest, ale jest piękna, zjawiskowo piękna. Nie odwracaj się; przyjrzyj się jej, jak będziemy wychodzić.

Cassie o nic więcej nie pytała.

- Wolę się przyjrzeć jemu - oznajmiła szczerze. - Widziałam go raz w życiu i pamiętam, że jest niesamowicie przystojny. Chciałabym to sprawdzić.

Beth obrzuciła ją spojrzeniem pełnym urazy.

- Teraz? Po tym wszystkim, co ci powiedziałam? Przecież on bawi się ze mną jak kot z myszą.

Cassie zupełnie się nie przejęła.

- Posłuchaj, Beth. Gdybym naprawdę sądziła, że on się tobą bawi, powiedziałabym ci to bez ogródek. Rzecz w tym, że ja nie mam takiej pewności.

- Nic nie rozumiem. - Beth nie spuszczała wzroku z Dominika. - O co mu w takim razie chodzi?

- Myślę, że sam jeszcze nie wie. Spójrz na to z jego punktu widzenia: facet wyjeżdża do Ameryki po ostrej wymianie zdań z tobą. Wraca i widzi, że jego potulna doktor Anderson zmieniła się w wampa, który wymyka się spod jego władzy. Nie wie, jak traktować tę nową osobę. Był na to nie przygotowany, nie rozumie powodów, nie ma żadnych danych; musi po prostu nauczyć się pracować i obcować z człowiekiem, którego przemiany nie pojmuje. To niełatwe, powinnaś mu chyba współczuć.

Cassie mówiła to tak poważnie, że Beth uznała, że nie rozwiąże za nią tej sprawy. Nigdy nie przypuszczała, że beztroska, wesoła Cassie wszystko dodatkowo skomplikuje.

- To co ja mam robić? - spytała bezradnie. - Mam znowu stać się taka jak dawniej? Po prostu z dobrego serca? Żeby ludziom nie sprawiać kłopotu swoją przemianą?

W jej głosie był ból i zawód osoby zdradzonej przez kogoś, do kogo miała absolutne zaufanie.

- Wnioskujesz zbyt pochopnie i głupio. - Cassie skrzywiła się. - Próbuję ci powiedzieć, że Dominik jest tak samo skołowany jak ty i nie wie, co myśleć. - Nie zwracając uwagi na parsknięcie Beth, mówiła dalej: - Musi to sobie uporządkować, ułożyć w głowie, musi znaleźć nową płaszczyznę obcowania z tobą, a to dość trudne.

Beth milczała i Cassie uśmiechnęła się do niej.

- Wiem, bo sama przez to przeszłam. Przecież ja też musiałam jakoś się przyzwyczaić do tego, że przyjaźnię się teraz z zupełnie inną osobą. To tylko ty myślisz, że w gruncie rzeczy zostałam taka sama.

- W głębi duszy nic się nie zmieniłam - odparła powoli Beth. Czula się całkiem zagubiona w gąszczu nowych problemów, jakie na nią sprowadziła nieoczekiwana przenikliwość Cassie.

- Zmieniłaś się, i to bardzo. Ludzie to widzą, odnoszą się do ciebie zupełnie inaczej niż dawniej i ty inaczej im odpowiadasz. To bardzo dobrze, nie musisz się z niczego wycofywać, ale powinnaś mieć świadomość, że my wszyscy musimy się przyzwyczaić do czegoś zupełnie nowego. Dominik też.

Moim zdaniem Dominik, nie wiedząc, jak się zachować, postanowił potraktować cię jak każdą atrakcyjną kobietę, która go pociąga. Zaciekawiał go twój przypadek i postanowił się z nim zmierzyć. Ciekawiło go, jak zareagujesz. Zepchnął na dalszy plan fakt, że razem pracujecie, i postanowił potraktować cię jak potencjalną zdobycz. Odrzuciłaś jego zaloty i zraniłaś jego dumę. Udaje, że nic między wami nie było, bo nie wie, jak się zachować w nie znanej sobie sytuacji.

Brzmiało to rozsądnie i logicznie, ale niewiele wyjaśniało; brakowało jeszcze jednego ważnego elementu. Beth zataiła przed przyjaciółką, że Dominik zarzucił jej brak doświadczenia i niedojrzałość. Ale skoro sądzi, że odrzuciła go z powodu oziębłości, to chyba nie powinien czuć się urażony?

- Może masz rację - podsumowała, postanowiwszy nie dodawać już nowych argumentów. - Może to rzeczywiście tak wygląda.

- Ale to nie wszystko. - Cassie mrugnęła okiem i Beth poczuła, że pytanie nie będzie łatwe. - Dlaczego w takim razie jesteś niezadowolona? Dominik potraktował cię poważnie, przestał cię napastować, kiedy tego zażądałaś. Co mu zarzucasz? O co ci właściwie chodzi?

Beth nie wiedziała i nie zamierzała się domyślać. Wstała. Wyszły z kawiarni nie zauważone, co nie znaczy, że Cassie nie obejrzała sobie dokładnie Dominika.

- Oczywiście, że tu zostaniemy - sprzeciwiła się, kiedy Beth zaproponowała, żeby opuściły magazyn. - Rzadko mam okazję coś sobie

spokojnie obejrzeć i nie zamierzam nie zwiedzić działu z lustrami i lampami tylko dlatego, że boisz się spotkać tego faceta.

Beth z godnością zaprzeczyła i Cassie spojrzała na nią spod oka.

- W takim razie świetnie, idziemy.

Kiedy dotarły na miejsce, natychmiast spostrzegła tył jego głowy.

Nerwowo pociągnęła Cassie za rękę, żeby ją zmusić do wyjścia, ale przyjaciółka stała jak zaczarowana przed dużym tęczowym lustrem.

- Podoba ci się? - spytała podnieconym głosem. - Muszę je kupić, jest cudowne. To będzie świetny urodzinowy prezent dla mamy George'a.

- Owszem, ładne - odparła Beth, nie patrząc na lustro, skupiona wyłącznie na utrzymaniu bezpiecznej odległości od Dominika. - Ale musi być strasznie drogie.

Głowa drgnęła i zwróciła się w ich stronę. Nie sądziła, że Dominik usłyszy jej głos. Mówiła cicho, a w sklepie panował gwar.

- To ty, Beth? - Jego twarz rozjaśniła się. - Witaj.

- Dzień dobry - odrzekła. Nie mogła się wycofać, bo już szybkim krokiem podążał w ich stronę.

Doszło do prezentacji; towarzysząca mu kobieta z bliska wydawała się jeszcze ładniejsza, a zdziwienie malujące się na jej twarzy na dźwięk nazwiska Beth tylko dodało jej urody.

- Marianne, to jest doktor Anderson, poznaście się. Beth, to Marianne, moja...

- To jest Beth? - Marianne zerknęła na Dominika z lekkim zdziwieniem. - To wiele wyjaśnia.

- Słucham? - Beth spojrzała na nią, nie bardzo rozumiejąc.

- Wiele o tobie słyszałam - ciągnęła Marianne, nie zwracając uwagi na spojrzenie Dominika - ale wyglądasz zupełnie inaczej...

- ...niż sobie wyobrażałam - dokończyła Beth, bawiąc się zmieszaniem towarzyszącego Marianne mężczyzny. Co on jej takiego naopowiadał? I

dlaczego w ogóle o niej rozmawiali? To, że mówi o niej ze swoimi przyjaciółkami, wcale nie jest przyjemne. Spojrzała na niego chłodno i wyjaśniła Marianne, że ostatnio bardzo się zmieniła.

- Wiem, wiem, Dominik mi mówił - przyznała bez najmniejszego skrepowania Marianne i Beth zobaczyła, że Dominik blednie. Doskonale rozumiała dlaczego, nie pojmowała tylko, z jakiego powodu ta śliczna młoda kobieta traktuje ją tak serdecznie. Cała nadzieja w tym, że nie opowiedział jej przebiegu sobotniego wieczoru, a może... Może wszystko powtórzył i potem razem śmiali się z jej niedoświadczenia i nieporadności?

Postanowiła nie zwracać na niego uwagi, pozornie pochłonięta rozmową ze śliczną młodą osobą, która nie przestawała rozprawiać.

- Mam nowe mieszkanie, właśnie je urządzam.

Musiała być młodsza od Beth, miała jakieś dwadzieścia trzy, cztery lata, przypominała figurkę z chińskiej porcelany, a w jej błękitnych oczach lśnił jakiś znajomy blask.

- Piękna ta lampa, prawda? Dominikowi się nie podoba, a ty co myślisz?

Wszystkie trzy pogрузyły się w kontemplacji przedziwnego sprzętu, ozdobionego abażurem z ciemnego jedwabiu. Dominik trzymał się na uboczu, z rękami skrzyżowanymi na piersi i dezaprobatą w oczach.

- To bardzo... - nawet Cassie zabrakło słów.

- ...niezwykle - dokończyła za nią Beth.

- Ale podoba wam się?

- Tak - odparły zgodnym chórem.

- Jest obrzydliwa - wtrącił Dominik. - Przypomina oświetlenie w luksusowym burdelu.

- Odezwał się znawca. - Marianne skwitowała jego wypowiedź znaczącym uśmiechem. - Najważniejsze, że w luksusowym...

Zaczerwienił się jak mały chłopiec i wzruszył ramionami.

- Rób, co chcesz. Zawsze robisz, co chcesz. Na szczęście, to ty będziesz na nią patrzeć.

Beth natychmiast zwróciła uwagę na znaczenie ostatnich słów. Zabrzmiało to tak, jakby nie zamierzali razem zamieszkać. Marianne posłała mu szelmowski uśmiech i znowu zwróciła się do Beth i Cassie:

- Dzięki za wsparcie, Dominik czasem jest okropnie marudny. Będziecie musiały kiedyś wpaść i zobaczyć tę lampę we wnętrzu.

Zaproszenie było dość nieoczekiwane i Beth przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Przez moment panowała niezręczna cisza.

- Dziękuję, to bardzo miło - wykrztusiła wreszcie.

Nie rozumiała, dlaczego Marianne jest taka serdeczna.

O co jej chodzi? Zwykle dziewczyny Dominika odnosiły się do niej z obraźliwą obojętnością. Może Cassie ma rację i zmiany, jakie w niej zaszły, powodują zmiany w zachowaniu ludzi, których spotyka. A może Marianne stara się w ten sposób przypodobać Dominikowi. Kto wie...

- Naprawdę dzisiaj nie mam czasu. Spojrzał na nią z wyraźnym niezadowoleniem.

- Powinniśmy to zrobić.

Skrzywił się jak mały chłopiec, któremu odmówiono zabawki.

- Musimy to załatwić.

Siedziała za biurkiem pochylona nad papierami, w ręku miała pióro, którym robiła notatki. Wyglądała na osobę bardzo zajętą, a on na petenta, który przeszkadza jej w pracy. Podniosła na niego oczy; było w nich znużenie.

- Dzisiaj to naprawdę niemożliwe.

- O co ci teraz chodzi? - zapytał, hamując wybuch gniewu.

- Jesteś tak strasznie zajęta, że nie masz chwili czasu dla szefa!

Zabrzmiało to tak nieoczekiwanie zabawnie, że Beth w duszy uśmiechnęła się nad niezamierzonym komizmem sytuacji.

- Mam, ale akurat o wpół do czwartej muszę się spotkać z Bobem.

- Bardzo często się z nim ostatnio spotykasz.

O co mu chodzi? Skąd ta podejrzliwość? Musi spotykać się z Bobem, bo wspólnie przygotowują roczne sprawozdanie.

- Nie częściej niż to konieczne - wyjaśniła bez sensu, bo właściwie tak absurdalny zarzut nie zasługiwał na odpowiedź.

- Lubię z nim pracować. Jest bezkonfliktowy, rzeczowy i miły.

Nie musiała dodawać „w przeciwieństwie do innych”, bo to narzucało się samo przez się. Nie wypowiedziane słowa zawisły w powietrzu i zapanowała cisza. Dominik przerwał ją pierwszy.

- W takim razie spotkamy się potem.

- Nie skończymy przed szóstą. Poczula na sobie jego lodowaty wzrok.

- Doskonale, mnie to odpowiada. Beth skinęła głową.

- W takim razie dobrze.

O wpół do ósmej była głodna, zmęczona i zła. Dominik grał na czas i wiedziała, że robi to specjalnie. Zwykle rzeczowy i szybki, przeciągał teraz rozmowę, rozwodząc się nad nieistotnymi szczegółami. Ostatnia godzina była czystą stratą czasu. Nie wiedziała, jak dać mu do zrozumienia, że powinni kończyć, i umierała z głodu.

W pewnej chwili wydało jej się, że Dominik lekko się uśmiecha, ale szybko uznała to za przywidzenie. Satysfakcja w jego oczach przywidzeniem jednak nie była; może głównym celem wieczornego spotkania było wykazanie, że ma nad nią władzę i może kazać jej zostać w pracy tak długo, jak zechce. Zupełnie jak mały chłopiec, który za wszelką cenę chce postawić na swoim i udowodnić swą wyższość. Poczula, że burczy jej w brzuchu.

- Przepraszam. Nie miałam czasu, żeby zjeść lunch. Burczenie powtórzyło się i Dominik spoważniał.

- Nie mogę pozwolić, żebyś umarła z głodu.

Bogu dzięki, może pozwoli jej iść do domu. Oczami duszy zobaczyła swoją kuchnię i mikrofalówkę. Przetarła zmęczone oczy.

- Możemy skończyć tę rozmowę po kolacji. Nie bardzo rozumiała.

- Jak to, po kolacji?

Obraz kanapy, spokoju, telewizora i pełnego talerza gdzieś się rozplynął.

- Przecież jesteś głodna, ja też chętnie bym coś zjadł, a tę rozmowę musimy dokończyć dzisiaj...

Trudno, trzeba zrobić dobrą minę do złej gry.

- Tylko wezmę płaszcz.

Podczas gdy wydawał polecenia włoskiemu kelnerowi, przypomniała sobie ich kolację w tym samym miejscu i późniejszą katastrofę. Zarumieniła się i zerknęła na niego spod rzęs. Wydawał się spokojny i odprężony; w niczym nie przypominał zdenerwowanego, niezadowolonego szefa, jakim był przed południem.

Nigdy dotychczas nie przypuszczała, że może być tak zmienny w nastrojach. Zawsze przecież był opanowany, spokojny, lekko ironiczny; „stabilny pod względem emocjonalnym”, jak by to sam określił w odniesieniu do pacjenta. Funkcjonował bez zarzutu, niczym dobrze naoliwiona maszyna, i tego samego oczekiwał od innych. Ostatnio wpadał z nastroju w nastrój; może ma po prostu trudny okres, bo na problemy wieku przejściowego chyba jest nieco za wcześnie...

- Dlaczego postanowiłaś zostać psychiatrą? Jego pytanie kompletnie ją zaskoczyło.

- Ponieważ nie lubię krwi - odparła bez chwili namysłu. Zwykle tak odpowiadała, kiedy ludzie pytali ją o wybór zawodu, a wiedziała, że odpowiedź niewiele ich obchodzi.

Nie wyglądał na zadowolonego.

- Postanowiłaś trzymać mnie na dystans, prawda?

Gdyby go nie znała, mogłaby przypuszczać, że jej zdawkowa odpowiedź sprawiła mu przykrość, ale go znała i wiedziała, że jest twardy i nieczuły, i nic nie jest w stanie go urazić. Uśmiechnęła się.

- Przepraszam, ale mnie zaskoczyłeś. Myślałam, że będziesz chciał mówić o naszym wyjeździe do Highland.

- Wszystko we właściwym czasie. Możemy chyba przez chwilę porozmawiać jak cywilizowani ludzie.

- Oczywiście.

Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że w dalszym ciągu nie jest zadowolony. Sam nie wie, czego chce, pomyślała, dlatego tak bardzo trudno dostosować się do jego nastroju. Kiedy mu się sprzeciwia, krzywi się, a kiedy dla świętego spokoju ustępuje, krzywi się jeszcze bardziej. Przyjrzała mu się z uwagą i przez ułamek sekundy miała wrażenie, że Dominik, wbrew jej przypuszczeniom, doskonale wie, czego chce. Wie aż za dobrze...

Przypomniała sobie tamten nieszczęsny wieczór i poczuła się okropnie.

Nalał jej wina, włoski kelner obrzucił ją spojrzeniem pełnym podziwu, i nastrój nieco się poprawił. Potem nadeszło odprężenie, a wraz z nim swoboda i beztroska. Coraz częściej zerkła na zachwyconego nią kelnera, rozkoszując się nie znanym jej dotąd, niemym podziwem mężczyzny. Chyba istotnie się zmieniła, skoro rzeczywistość wokół niej wygląda zupełnie inaczej.

Dominik również się rozchmurzył.

- A teraz zabiorę cię do domu.

Beztroski nastrój prysł i ogarnęła ją panika. Przecież tamten koszmar nie może się powtórzyć! Dominik chyba nie chce znowu ryzykować, że spotka się z odmową!

W drodze do domu łudziła się jeszcze, że coś im przeszkodzi i Dominik nie znajdzie się w jej mieszkaniu. Może na parkingu nie będzie miejsca i uda jej się wyskoczyć z samochodu pod pretekstem, że nie ma gdzie parkować?

Miejsce było doskonałe; na wprost wejścia do jej domu, zupełnie jakby na nich czekało. Serce w niej zamarło, kiedy Dominik wysiadł z samochodu.

- Odprowadzę cię - powiedział i ruszyli w stronę wejścia.

Szli w milczeniu po kamiennych schodach, a kiedy dotarli na piętro, Dominik wyjął jej z ręki klucze i otworzył drzwi.

Wśliznęła się szybko, blokując sobą wejście, a kiedy się odwróciła, spostrzegła, że Dominik stoi w progu, wcale nie mając zamiaru wchodzić. Z uczuciem, że się ośmieszyła, wzięła od niego klucze i uśmiechnęła się zażenowana.

- Dobranoc i dziękuję za kolację.

- Dobranoc, Beth - odparł, ześlizgując się wzrokiem z jej twarzy i obejmując spojrzeniem całą sylwetkę. W jego oczach dostrzegła żal, a zaraz potem lekki uśmiech. - Ale ty już nie jesteś Beth, prawda? Beth była prosta i nieskomplikowana, spokojna i opanowana, a ty jesteś zupełnie inna. Jesteś podniecająca i egzotyczna, bardzo skomplikowana i fascynująca. Może łatwiej bym się z tym pogodził, gdybyś przybrała jakieś inne imię, nowe imię dla nowej osoby.

Znowu przyjrzał jej się z uwagą. Nowe imię? Co on mówi?

- Może Elizabeth albo Liza... Ale to zbyt staroświeckie dla takiej osoby, jaką jesteś teraz. Tak, Elizabeth albo coś w tym stylu. Na pewno nie Beth.

Po raz pierwszy w życiu była wdzięczna matce za imię, jakie dla niej wybrała; dotychczas nie była nim zachwycona.

- Możliwe - odparła chłodno - ale tak się składa, że nie mam na imię Elizabeth i nie zamierzam się nim posługiwać.

- Naprawdę dali ci na chrzcie Beth? - Był tak zdziwiony, jakby podobna ewentualność wcale nie wchodziła w rachubę.

Miał rację.

- Nie.

- W takim razie skoro nie Elizabeth, to jak... Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Betsaba - powiedziała szybko, żeby z tym skończyć i zamknęła mu drzwi przed nosem, żeby nie widzieć jego rozbawienia.

- Betsaba! - usłyszała jeszcze jego zdumione westchnienie i poszła korytarzem w głąb mieszkania.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Czy mogę wejść?

Bill Sullivan odsunął się, robiąc jej przejście; minę miał nieprzyjazną i nie poprosił Beth, by usiadła. Poczowała się nieswojo; wiedziała, że nie jest w tym domu mile widziana i coraz lepiej rozumiała powody takiego stanu rzeczy.

- Po co pani przyszła? - powiedział nieprzyjaznym tonem.

Beth rzuciła okiem na fotografię młodej kobiety, stojącą na stoliku. Kobieta uśmiechała się. Bill Sullivan poszedł w ślad za jej wzrokiem.

- To Jenny jeszcze przed ślubem. Kiedy sobie przypomnę, jaka była, kiedy chorowała, nie wierzę, że kiedyś była taka radosna i szczęśliwa. - Wziął zdjęcie, a potem odstawił je drżącą ręką. - Kiedy miała depresję, ciężko było z nią wytrzymać. Czasem myślałem, że może byłoby lepiej dla nas obojga, gdyby umarła.

Beth zbladła. Bill spojrzał na nią uważnie.

- Trudno w to uwierzyć, prawda? - Zamyślił się i zapatrzył w przestrzeń. - Nikt, kto nie żył z taką osobą, nie wie, co to za koszmar. Człowiek widzi, jak ktoś, kogo kocha, zmienia się na jego oczach. Nie chodziło mi o mnie, tylko o nią. Tak strasznie się męczyła.

- A jak pan się czuje teraz?

- Teraz? Tak bardzo za nią tęsknię, że nawet gdy mówię sobie, że ona już się nie męczy, to mi nie pomaga. Jenny jest już spokojna, ale ja nie. To moja wina.

Oczekiwała czegoś zupełnie innego.

- Nie powinienem był nigdy się z nią żenić - ciągnął. - Jej rodzice uważali, że jestem dla niej nieodpowiedni. Jestem tylko hydraulikiem, zarabiam

dobrze, ale woleli, żeby córka wyszła za jakiegoś urzędnika, że to niby „czysta” praca. Nic nie mówili, nie zakazywali jej, nie krytykowali, ale to się zawsze wyczuwało. Bardzo się tym dręczyła. Mówiłem jej, że jeśli chce, żebym odszedł, to niech powie, ale ona nie chciała. Biedna Jenny, kiedy wracała ze szpitala do domu, wszystko zaczynało się od nowa. Przychodzili i męcili jej w głowie. Namawiali ją, żeby się do nich przeprowadziła. Myślałem, że najlepiej będzie odwiedzić ją z powrotem do szpitala, bo tam jej pomogą. Nic z tego nie wyszło...

- Jest mi bardzo przykro - powiedziała Beth, kładąc dłoń na jego ramieniu. - Naprawdę bardzo panu współczuję.

Bill Sullivan natychmiast się zmienił; znowu był tamtym odpychającym facetem, którego tak nie lubiły pielęgniarki.

- Po co pani właściwie przyszła?

- Chciałam zobaczyć, jak się pan miewa. Spojrzał na nią nieprzyjaźnie.

- No to pani zobaczyła. Miewam się doskonale, szkoda tylko, że się tak nie interesowaliście Jenny, kiedy jeszcze żyła.

- W takim razie wszystko ustalone. Jutro zaraz po lunchu jedziemy do Royal Highland.

- Jesteś pewien, że to nie jest fałszywy alarm? - zapytała.

Dominik wyjątkowo poważnie potraktował pogłoski dochodzące z Highland - mimo całkowitego braku dowodów. Teraz zmarszczył czoło.

- Nie sądzę. Wydaje się, że jest tam jakiś problem z personelem, coś niedobrego dzieje się podczas nocnych dyżurów. Nie mają wykwalifikowanych pielęgniarzy i zatrudniają ludzi po krótkim szkoleniu. Nawet jeśli doniesienia są przesadzone, musimy wszystko sprawdzić.

- Kiedy stamtąd wrócimy?

Dostrzegła ślad uśmiechu w kącikach jego warg. Oczywiście wiedział, jak bardzo jej zależy na skróceniu czasu wspólnej wyprawy. Nie zamierzała być z nim o minutę dłużej niż to absolutnie konieczne.

- Zajmie nam to co najmniej dwa dni i dwie noce, Beth. Teraz ona z kolei zasepiła się i umilkła.

Dominik niezbyt trafnie odgadł powód jej zamyślenia.

- Robert pewnie nie będzie zachwycony, ale trudno, jakoś to przeżyje - rzucił złośliwie i spojrzała na niego zdziwiona.

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, że nieporozumienie co do roli Roberta w jej życiu trwa. Nic nie wyjaśniając, skinęła głową.

- Wszystko w porządku. Jedziemy, to ty jesteś szefem.

Powiedziała to obojętnym, niedbałym tonem, jakby prawdziwy powód jej niepokoju został zażegnany. Nie chciała ciągnąć dalej rozmowy, która w każdej chwili groziła niebezpiecznym zwrotem. Ostatecznie przeżyje jakoś te dwa dni; oboje będą wystarczająco zajęci w szpitalu, żeby dodatkowo komplikować sobie życie wydumanymi problemami.

Mimo że upłynęło już kilka tygodni, odkąd fala francuskich perfum po raz ostatni napłynęła korytarzem, by zatrzymać się na progu gabinetu Dominika, Beth rozpoznała ją natychmiast.

Helena Graham wróciła, tak jakby nigdy nie zniknęła z jego życia. Podążała właśnie korytarzem, kiedy nagle niespodziewany widok sprawił, że się zatrzymała. Wysoka sylwetka w czerwonym kostiumie obróciła się wokół własnej osi i utknęła w miejscu dokładnie naprzeciw Beth.

- Kim pani jest?

Beth milczała i Helena miała dość czasu, by odzyskać poczucie rzeczywistości, a wraz z nim odkryć prawdę.

- O Boże! Nigdy bym nie przypuszczała! To nie do wiary... Przecież to... Jak?

Reakcja Heleny Graham zdumiała Beth swoją gwałtownością.

- Kiedy to się stało? - spytała bez ogródek Helena, badając każdy centymetr sylwetki stojącej przed nią kobiety. - Kiedy do tego doszło?

Beth poczuła się jak rzadki okaz egzotycznego zwierzątka pod bacznym spojrzeniem naukowca. Wzrok tego „naukowca” wcale nie był beznamiętny.

- Podczas pobytu Dominika w Stanach - odparła z godnością, tłumiąc niesmak, że mimo woli bierze udział w narzuconej przez przeciwnika grze.

- On cię do tego skłonił? - W pytaniu Heleny nie było ciekawości; był w nim tylko domysł i... pewność. Jej policzki przybrały barwę karminu.

- Skądże! - zaprotestowała Beth. - Sama postanowiłam zrobić coś ze swoim wyglądem.

Helena podeszła bliżej i zmrużyła oczy.

- Ciekawa jestem dlaczego. Skąd ten pomysł?

W jej głosie brzmiała otwarta wrogość i Beth zastanawiała się właśnie, co zrobić, żeby zakończyć tę niezwykłą scenę, gdy na schodach ukazał się Dominik. Pod pachą miał plik papierów, w dłoniach tekturowe teczki. Na jego twarzy odmalowało się tak wielkie zdumienie, że nie od razu zrozumiała, o co chodzi.

- Co tu robisz?

Jego chłodny głos wtargnął w naelektryzowane powietrze między dwiema kobietami i sprowadził je na ziemię. Helena z wprawą zawodowej aktorki natychmiast zmieniła wyraz twarzy i z uśmiechem spojrzała na Beth.

- Właśnie przyglądałam się twojej doktor Anderson i dziwiłam zmianom, jakie zaszły w jej wyglądzie. Nadzwyczajne!

- Owszem. - Głos Dominika był tak samo obojętny jak wyraz jego twarzy.

Helena odebrała to jako zachętę. Fakt, że Dominik nawet nie spojrzał na Beth, dodatkowo ją zmobilizował.

- Właśnie rozmawialiśmy o tym, jakie to bardzo pracochłonne zajęcie, to codzienne malowanie twarzy. I po co tak się męczyć...

- Doprawdy?

Helena była chyba ślepa albo głucha; Beth doskonale wyczuła furię w jego głosie. Nie wiedziała tylko, przeciwko komu skieruje się jego gniew.

- Musi być jakiś powód takiej zmiany, bardzo poważny powód - cedziła Helena jadowitym głosem.

- Nie sądzę, żeby... - zaczęła Beth, ale nikt jej nie słuchał.

- Motyl to zjawisko zupełnie naturalne - usłyszała cichy głos Dominika i nie mogła uwierzyć, że opowiada się po jej stronie. - To zupełnie zwykła rzecz, wyłania się i już.

Helena, nic nie rozumiawszy, brnęła dalej.

- Brawo, świetnie to ująłeś - roześmiała się z wysiłkiem. - Ja jednak sądzę, że musi być coś więcej. - Obrzuciła Beth nienawistnym spojrzeniem. - Doktor Anderson rozumiała, że jeśli naprawdę chce złapać cię na męża, to musi coś z sobą zrobić. Postanowiła poprawić swój wizerunek, żeby było łatwiej dopuścić taką ewentualność. Posłuszeństwo i cicha adoracja nie sprawdziły się i trzeba było zacząć działać inaczej!

Westchnienie, które wyrwało się z ust Beth, przypominało raczej krótki jęk, ale żadne z obecnych nie zwróciło na nią uwagi. Dominik przeniósł spojrzenie z Beth na Helenę; jego oczy przybrały odcień granitu.

- To niezły pomysł - powiedział, jakby rozmawiali o pogodzie. - Teraz, kiedy mi na to zwróciłaś uwagę, zaczynam myśleć, że Beth byłaby naprawdę wspaniałą żoną. Przeniósł z kolei wzrok na Beth i zamilkł.

- Co?! - zawołały obie kobiety równocześnie, jedna zduszonym szeptem, druga - piskliwym krzykiem.

Dominik zwrócił wzrok ku tej drugiej.

- Pracujemy razem od lat i bardzo dobrze nam idzie. Beth jest doskonałym psychiatrą i, jak sama zauważyłaś, niezwykle atrakcyjną kobietą. To świetny pomysł; dziękuję, że mi go podsunęłaś.

- Słuchajcie... - wtrąciła Beth, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Helena dopiero po chwili otrząsnęła się ze zdumienia i dodała:

- I oczywiście jest w tobie zakochana.

- Co? - Teraz z kolei zdziwił się Dominik.

- Przecież to jasne, kocha się w tobie od lat, nie domyślasz się tego?
Właśnie dlatego zrobiła to wszystko. Chciała, żebyś nareszcie zwrócił na nią uwagę.

Beth nie próbowała się bronić, nie miała pojęcia, co należy powiedzieć ani jak się zachować. Odejść nie mogła: nogi miała jak z ołowiu, ciało ciężkie i bezwładne. Dostrzegła tylko krótkie spojrzenie Dominika i coś dziwnego w jego oczach. Helena mówi prawdę! Dotarło to do niej tak nagle, jak błyskawica rozświetlająca nocne niebo. Ona go kocha! Dlatego tak się zmieniła! Dla niego! Szkoda tylko, że uświadomiła to sobie w tak okropnej i żenującej sytuacji. Jak przerwać ten koszmar?

- Mężczyzna, którego Beth kocha, to wielki szczęściarz - powiedział Dominik - ale to, niestety, nie jestem ja.

- Jesteś chyba ślepy. - Głos Heleny stał się cichy i spokojny, tak jakby zachowanie Dominika uciszyło burzę.

- To ty jesteś ślepa, Heleno. Chciałem ci ułatwić sytuację, przygotowywałem cię do naszego rozstania długie tygodnie, ale nie chciałaś zrozumieć. Dlatego muszę powiedzieć ci wprost: wszystko skończone, nie przychodź tu więcej, a teraz idź już.

- Dominiku...

- Powiedziałem, idź stąd.

Helena wolnym krokiem poszła w stronę schodów; w ostatniej chwili odwróciła się.

- Życzę wam szczęścia, bardzo do siebie pasujecie.

Zabrzmiało to raczej jak przekleństwo niż życzenia.

Potem usłyszeli jeszcze trzaśnięcie drzwiami. Beth drgnęła, jakby ten odgłos ją obudził, i rzuciła się w stronę swojego gabinetu. Dominik chwycił ją za ramię.

- Nie uciekaj, Beth. - Powiedział to tak łagodnie, że przez chwilę miała wrażenie, że to mówi ktoś inny. - Powinniśmy o tym wszystkim spokojnie porozmawiać. Bardzo mi przykro, że musiałaś jej wysłuchać, ale...

- Nie ma żadnego ale!

- Jest i dobrze o tym wiesz.

Miał rację. Była strasznie zraniona i upokorzona, ale wiedziała, że nie można tego tak zostawić.

- To wszystko nieprawda! Poczula na ramieniu jego uścisk.

- Co nie jest prawdą, Beth? - zapytał, patrząc gdzieś w bok.

- To, że cię kocham!

Wykrztusiła te słowa, mimo że wszystko w niej krzyczało, że jest inaczej. On nie może się o tym dowiedzieć, nie wolno jej się ośmieszyć. Nie da mu szansy odrzucić swojej miłości.

- Przecież wiem, że to nieprawda. - W jego głosie było coś dziwnego, ale twarz pozostała niezmienną.

- I wcale nie zmieniłam swojego wyglądu, żeby cię złapać na męża!

- Przecież wiem, ale szkoda.

- Co takiego?

Spojrzała na niego zupełnie zdezorientowana. Pod wpływem szoku pewnie źle zrozumiała jego słowa. Nie mógł powiedzieć czegoś podobnego, nawet żartem.

- Helena może sobie być głupią babą, ale swój rozum ma. Ten pomysł z małżeństwem jest naprawdę genialny.

- Co ty mówisz! Przecież to absurd!

W najśmielszych marzeniach i najbardziej szalonych snach nie mogła dopuścić do siebie myśli, że oto Dominik pod wpływem słów Heleny zrozumiał nagle, że kocha ją, Beth, i postanowił poprosić ją o rękę. To musi być jakaś nowa gra; sprowokuje ją, a potem odepchnie ze śmiechem. W jego wzroku nie dostrzegła jednak rozbawienia, a jego głos był nadspodziewanie poważny.

- Posłuchaj, Beth. Czy naprawdę perspektywa poślubienia mnie jest taka straszna? Przed chwilą powiedziałem prawdę. Zawsze doskonale się rozumieliśmy; było kilka gorszych chwil, ale to normalne; znamy swoje słabe strony i wiemy, czego się możemy po sobie spodziewać. Szanujemy się i mamy do siebie zaufanie. Czy jestem aż tak mało pociągający, że odrzuca cię sama myśl o małżeństwie ze mną?

Powiedział to wszystko takim tonem, jakby referował przebieg nudnej konferencji.

- Strasznie zbladłaś. Widywałem już ludzi o różnych kolorach skóry, ale zielonych jeszcze nie...

Natychmiast się zaczerwieniła.

- Tak jest o wiele lepiej, wyglądasz znacznie zdrowiej. Zrobiła się purpurowa.

- To jak będzie? - zapytał swobodnym tonem, tak jakby jej milczenie nie miało w sobie nic obraźliwego. - Pytałem, czy jestem tak odstręczający, że na samą myśl o poślubieniu mnie dostajesz dreszczy.

Jak on może tak się zachowywać? Przecież Helena upokorzyła ją dostatecznie. Jak on może przedłużać ten koszmar?

- Naprawdę stanowczo odrzucasz taką ewentualność?

Usłyszała w jego głosie lekkie napięcie i nagle pojęła, że odpowiedź na to pytanie nie jest mu całkiem obojętna. Nie żartował, nie kpił sobie z niej; dzięki Helenie wpadł na pewien pomysł i teraz próbował wprowadzić go w czyn. Nie miała tylko pojęcia, dlaczego to robi.

O co mu chodzi? Rozumiała do pewnego stopnia jego niewczesne, niewłaściwe żarty, ale to... Chyba że powód jest banalnie prosty: nie może uwierzyć, że jest tak bardzo nieatrakcyjny, że nawet ktoś taki jak ona odrzuca jego propozycję. Każdy mężczyzna czułby się w takiej sytuacji urażony. Musi mu odpowiedzieć, nie może dłużej milczeć; najlepiej powiedzieć prawdę, to znaczy tę jej część, która nadaje się do powiedzenia głośno.

- Wcale nie jesteś nieatrakcyjny - odparła sztucznie ożywionym głosem i spostrzegła, że Dominik słucha bardzo uważnie - ale przecież oboje wiemy, że trzeba mieć znacznie poważniejsze powody, żeby kogoś poślubić, niż jego atrakcyjność.

Obudziła w nim zainteresowanie i zrozumiała, że finał rozmowy będzie zależał od tego, czy je utrzyma.

- Gdyby chodziło tylko o to, małżeństwo byłoby rzeczą banalnie prostą - ciągnęła.

- Tak sądzisz? Często spotykasz atrakcyjnych mężczyzn?

Zabrzmiało to tak, jakby nigdy nie przypuszczał, że jakikolwiek mężczyzna może zwrócić na siebie jej uwagę. Tak jakby nie podejrzewał, że Beth w ogóle interesuje się mężczyznami.

- Co nie znaczy, że myślę przy tym o małżeństwie - odrzekła ogólnikowo i natychmiast skierowała rozmowę na inne tory. - Przecież tobie również podoba się wiele kobiet. Czy z każdą zaraz byś się żenił?

Ocecił właściwie jej ruch i z uznaniem pokiwał głową.

- Punkt dla ciebie, ale nie pójdzie ci tak łatwo. Podaj mi chociaż jeden powód, dla którego nasze małżeństwo nie jest możliwe.

Dlaczego tak nalega? Gorączkowo szukała odpowiedzi.

- A dlaczego mielibyśmy się pobrać? - zapytała w końcu. - To ty mi podaj chociaż jeden powód.

Natychmiast pożałowała, ale było już za późno.

- Bo jesteś piękną, pociągającą kobietą i bardzo chciałbym się z tobą kochać, a nie sądzę, że zgodziłabyś się na to bez małżeństwa. Może się mylę?

Zupełnie jakby pytał, czy pójdzie z nim na obiad albo czy na dworze jest chłodno. Ton jego głosu tak dalece odbiegał od sensu słów, że Beth z trudem je pojęła. On jej proponuje... A jeśli to nie jest propozycja, to co w takim razie? I co ona ma na coś podobnego odpowiedzieć?

Dominik wyglądał na zniecierpliwionego przedłużającym się milczeniem i całą sceną rozgrywającą się na korytarzu.

- Nad czym tak rozmyślasz? Co teraz masz przeciwko naszemu małżeństwu?

- My się nie kochamy - odparła po prostu - a ja przywykłam do myśli, że małżeństwo to sprawa przede wszystkim miłości. Bez tego małżeństwo nie ma sensu.

- A jeśli jedna z osób kocha? - zapytał i nie spuszczał oczu z jej twarzy, czekał na odpowiedź.

Odwróciła wzrok, żeby ukryć myśli. Przecież on nie wie, co ona do niego czuje. Dlaczego w takim razie to powiedział? Nie jest chyba aż tak okrutny. Gdyby podejrzewał, że ona go kocha, nie raniłby jej tak. Ale przecież tylko to może mieć na myśli, stawiając podobne pytanie, dlatego trzeba mu odpowiedzieć, nie można tego tak zostawić. To nie jest niewinne pytanie, to oskarżenie.

- To nie wystarczy - odparła stanowczo. - Jeśli kocha tylko jedna strona, małżeństwo szybko zamieni się w piekło nieporozumień, rozgoryczenia i wzajemnych wymówek.

- Nie sądzisz, że miłość z jednej strony może spowodować taką samą odpowiedź z drugiej, że miłości można się nauczyć?

Bardzo pragnęła tak myśleć, ale wiedziała, że tak nie jest i nie zamierzała się oszukiwać.

- Nie, to niemożliwe. Tak nigdy nie jest. Kiedy człowiek wie, że jest kochany, ale nie może odwzajemnić tego uczucia, czuje się winny i dręczy tego, kto kocha, za to, że jest powodem jego dyskomfortu psychicznego.

Ostatnie słowa wymówiła nieco szybciej, czując, że zaraz wybuchnie płaczem. Trzymała się już wystarczająco długo, teraz nadchodził kres wytrzymałości. Musi natychmiast stąd odejść i gdzieś się schować.

- Mądra, bardzo mądra Betsaba - powiedział zamyślonym głosem. - Słusznie cię nazwali imieniem żony króla Dawida i matki króla Salomona. Dzięki za szczerość i mądre rady. Odbieranie złudzeń to przecież wyższa forma mądrości.

Odszedł pierwszy i zniknął w swoim gabinecie, cicho zamykając za sobą drzwi.

Dotrwała jakoś do końca dnia, a gdy wreszcie znalazła się w bezpiecznym zaciszu swego mieszkania, rozplakała się z uczuciem ulgi, że nareszcie może to zrobić. Jak mogła nie wiedzieć, że kocha Dominika? Jak mogła wmawiać sobie, że to, co do niego czuje, nie jest miłością? Dopiero teraz wszystko stało się jasne.

To dlatego tak bardzo bolały ją jego docinki, to dlatego tak niechętnie odnosiła się do jego przyjaciółek, to dlatego przez te wszystkie lata pozwalała sobą pomiatać i traktować jak chłopca na posyłki.

To dlatego postanowiła zmienić wygląd.

Ostatnia myśl przerwała potok rozpaczliwych skojarzeń. To ostatnie wcale nie jest prawdą: w tym przypadku nie chodziło tylko o Dominika. Postanowiła się zmienić i zrobiła to dla siebie, dla własnego życia. Nie wolno jej zapominać, że tę decyzję podjęła ze względu na siebie i że rola Dominika w tym przypadku była drugoplanowa. Stało się bardzo dobrze; bez względu na to, jak potoczą się jej dalsze losy, nikt nie odbierze jej tego, co dla siebie zrobiła.

Wytarła łzy i poszła do łazienki, żeby w lustrze sprawdzić, jakiego spustoszenia dokonały na jej twarzy. Motyl z powrotem zamienił się w poczwarkę, i to dość z maltretowaną. Sięgnęła po kosmetyki; wiedziała już, że zniszczenia tego rodzaju szybko można naprawić.

Dopiero w czasie pakowania torby przed czekającą ich podróżą przypomniała sobie, że nazwał ją Betsabą. Dodał przy tym szczegóły, które świadczyły, że dobrze zna biblijną postać, po której odziedziczyła imię. Nie na darmo wychwalano jej mądrość i roztropność. Zwano ją też co prawda „córą

radości", ale to już inna sprawa... To jej nie dotyczy. Swoją drogą, miło z jego strony, że chociaż przez chwilę zastanawiał się nad znaczeniem jej imienia. Przypomniała sobie, że Betsabę nazywano również „domem wód, co wystąpiły z brzegów" i uśmiechnęła się smutno na przypomnienie strumieni łez, które jeszcze przed chwilą płynęły po jej policzkach. Naprawdę, doskonale dobrano jej imię, I porzuciwszy wszelkie dodatkowe skojarzenia z sytuacją opisaną w Biblii, z przyjemnością raz jeszcze pomyślała, że Dominik poświęcił chwilę uwagi jej prawdziwemu imieniu.

- Odwiedziłam Billa Sullivana - oznajmiła, żeby przerwać ciszę, której bała się teraz bardziej niż kiedykolwiek.

- Kogo? - Nie od razu zrozumiał. - Jakiego Billa? - Zahamował na światłach i spojrzał na nią. - Męża Jenny? Po co do niego poszłaś?

- Chciałam z nim porozmawiać, żeby zakończyć tę sprawę. Chciałam się przekonać, czy Martha mogła mieć rację. I przekonałam się - dodała szybko - że się myliła.

W skrócie streściła mu przebieg wizyty.

- I co teraz?

- Teraz muszę się z tobą zgodzić. Nic nie wskazuje na to, jakoby Bill maltretował żonę.

- Masz jakieś dowody czy przekonało cię tak zwane ogólne wrażenie?

- Nie zapytałam go o to wprost, ale wszystko, czego się dowiedziałam, przeczy podobnej tezie.

- Miło to słyszeć.

- Dlaczego?

- Bałam się, że nic cię nie przekona, że uprzedzisz się do niego, bo jest mężczyzną.

- Po prostu poważnie potraktowałam to, co mi powiedziała jedna z pacjentek.

- Owszem.

- Potem dowiedziałam się czegoś więcej o pani Bell.

- Tak?

- Martha Bell nie po raz pierwszy oskarża bezpodstawnie męża innej pacjentki o złe traktowanie.

- Coś takiego! - W jego głosie zabrzmiało rozbawienie.

- Nie ma w tym nic zabawnego.

- Nic nie powiedziałem.

- Bardzo słusznie.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Komu teraz współczujesz najbardziej? - zapytał w końcu.

- Jenny. Zawsze będzie mi przykro z powodu Jenny.

- Dlaczego? Beth zamyśliła się.

- Miała bardzo trudne życie, nie tylko z powodu choroby.

Żyła otoczona ludźmi, którzy ją kochali, ale nie mogli się z sobą porozumieć i nieświadomie bardzo ją krzywdzili.

- To racja. Nie ma nic gorszego jak rodzinne nieporozumienia. Ja miałem szczęście; moja żona i teściowie zgodnie uradzili, że trzeba się ze mną rozwieść. Rodzice mojej żony zawsze byli przeciwni naszemu związkowi i okazało się, że mieli rację.

- Co ci zarzucali? Przecież nie to, że jesteś lekarzem?

- Nie, zarzucali mi, że jestem dopiero praktykantem. Pobraliśmy się zaraz po studiach i byłem w szpitalu na stażu. Byliśmy bardzo młodzi, zaślepieni i wszystko skończyło się katastrofą. Kiedy teraz na to patrzę, nie mogę uwierzyć, jak można być tak naiwnym. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że Clara jest strasznie młoda. Była absolutnie nie przygotowana na trudy życia. Najpierw brakowało nam pieniędzy, a potem, kiedy już lepiej zarabiałem, nie miałem dla niej czasu, bo robiłem specjalizację. Znalazła sobie kogoś i...

- Bardzo mi przykro.

- Niesłusznie. Mnie nie. Wyszła szczęśliwie za mąż i wszystko dobrze się skończyło. Najpierw nieco mnie raziło, że moja żona romansuje z moim szefem, ale z czasem się przyzwyczailem. - Uśmiechnął się pod nosem. - Mamusia i tatuś znowu byli niezadowoleni. Tym razem mówili, że jest za stary, ale Clara właśnie kogoś takiego potrzebowała. Dojrzałego, poważnego mężczyzny, zdolnego zapewnić jej dostatni byt. Czegóż innego można chcieć?

Zerknął na nią i porozumiewawczo mrugnął.

- Jedyne problem w tym, że on nie zawsze ma czas, żeby jej pomagać w wydawaniu pieniędzy, które zarabia.

Wydawał się tak swobodny i odprężony, że to, co powiedział zaraz potem, zaskoczyło ją.

- A ty? Dlaczego nie wyszłaś za mąż? Zaczerwieniła się. Sama nie miała pojęcia dlaczego.

- Nie bardzo wiem. Kiedy byłam młoda, byłam nieśmiała i nie udzielałam się towarzysko. Uczyłam się, byłam bardzo pilna, bo nie miałam nic innego do roboty. Potem przyzwyczailem się i zaczęłam traktować naukę jako coś zwykłego i normalnego. Czasem się z kimś umawiałam, ale tylko tak, i zaraz wracałam do książek. Potem uznałam, że tak właśnie ma wyglądać całe moje życie.

Miała nadzieję, że jej wypowiedź nie zabrzmiała jednak zbyt żałośnie.

- Jesteś zadowolona z takiego trybu życia?

- Nie jestem nieszczęśliwa - powiedziała szybko.

- Nie chciałabyś wyjść za mąż? Mieć dzieci?

- Tylko jeśli się w kimś zakocham.

A w duszy dodała: i jeśli on pokocha mnie. Zaraz potem ujrzała małego chłopca, łudzaco podobnego do Dominika, bawiącego się u jej stóp.

Młody dyżurny lekarz był zdumiony przybyciem dwojga lekarzy z Glasgow, którzy zjawili się pod wieczór i poprosili, żeby im pokazał szpital. Opanował się jednak i zaprowadził ich na oddział.

Szpital był stary i ponury, chociaż tu i ówdzie widać było próby ożywienia nieco surowych, wiktoriańskich wnętrz. Słowem, nie było dobrze, ale mogło być gorzej. Najwyraźniej administracja szpitalna zmagala się z ograniczonymi finansami i z trudem wiązała koniec z końcem.

Dominik poprosił, by ich zaprowadzono na oddział zamknięty. Młody lekarz namyślał się przez chwilę.

- Będę musiał porozumieć się w tej sprawie z doktorem McCannem - odparł wreszcie. - Byłoby lepiej, gdyby to on państwa zaprowadził.

- Nie sądzę - zaproponował Dominik. - Myślę, że możemy pójść na oddział zamknięty z panem, a potem oczywiście może pan poprosić do nas doktora McCanna.

Beth zrobiło się żal młodego lekarza. Widać było, że jego sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Niechętnie zaprowadził ich na oddział, gdzie przebywali pacjenci, których stan wymagał odosobnienia. Nie było ich wielu.

Jeden rzut oka na dyżurnego pielęgniarza uświadomił Beth, że zarzuty, które dotarły do komisji, wcale nie muszą okazać się bezpodstawne. McGregor był otyłym mężczyzną o tłustych włosach i złym spojrzeniu. Biła od niego brutalność i coś nieokreślonego, co wzbudzało najgorsze podejrzenia. Wzdrygnęła się; nie wolno się przecież uprzedzać, historia z Billem powinna być dla niej ostrzeżeniem. Instynktownie przysunęła się do Dominika.

Przecież to tylko pielęgniarz; dotychczas potrafiła sobie radzić zarówno z chorymi w różnym stadium agresji, jak ze szpitalnym personelem.

McGregor szybko oprowadził ich po oddziale.

- Chyba wystarczy na dzisiaj.

Wcale tak nie uważali; zdążyli zamienić jedynie kilka słów z pacjentami, pobieżnie obejrzelili pokoje, w dalszym ciągu nic nie wiedzieli.

- Chciałbym z panem porozmawiać. - Chudy mężczyzna w podkoszulku ukazał się nagle i szybkim krokiem podszedł do Dominika. - Mam pewną sprawę.

McGregor tustym cielskiem zagroził mu drogę,

- Nie teraz, Malcolm.

Beth spostrzegła, że mężczyzna wcale nie jest taki chudy; spod koszulki widać było dobrze umięśnione ramiona.

- A to dlaczego?

W jego tonie było coś agresywnego, a może tylko stanowczego.

- Chciałbym coś powiedzieć tym lekarzom, coś, o czym powinni wiedzieć.

- Powiedziałem, nie teraz!

W głosie pielęgniarza zabrzmiała groźba i Dominik położył dłoń na ramieniu Beth; mogło to sugerować, że próbuje powstrzymać ją przed interwencją lub że stara się ją chronić.

Obaj adwersarze utkwili wzrok w Dominiku, jakby wiedzieli, że tylko od niego zależy, jak dalej rozwinie się konflikt. Dominik wyprostował się; urósł nagle i spotęźniał. Atmosfera zrobiła się gęsta i nieprzyjemna.

- Sądzę, że pan... - zaczął Dominik i spojrzał na mężczyznę, oczekując, że któryś podpowie mu nazwisko pacjenta.

- Paterson, Malcolm Paterson. - Mężczyzna wyciągnął rękę i przywitał się z Dominikiem, który też wymienił swoje nazwisko.

- A to jest doktor Beth Anderson, jesteśmy...

- ...członkami komisji, wiem, wiem. Przyjechaliście w samą porę.

Dominik uśmiechnął się i obrzucił go uważnym spojrzeniem. W jego wzroku było tyle ciepła, przyjaźni i opiekuńczości, że Beth nagle pomyślała, że nigdy dotąd nie widziała go „w akcji”. Atmosfera natychmiast się poprawiła, napięcie zelżało.

- Moglibyśmy porozmawiać w pańskim pokoju? - zapytał Dominik pielęgniarkę, lecz nie czekał na odpowiedź.

Skierowali się w stronę dyżurki i Beth poszła za nimi. W progu Malcolm Paterson nagle się zatrzymał. Poczula na sobie spojrzenie wyblakłych oczu.

- Pani nie, bez obrazy, ale takie sprawy najlepiej załatwiać między mężczyznami. Przepraszam.

- Nie gniewam się - odparła, nie chcąc, by Dominik występował w jej obronie - ale jestem członkiem komisji i muszę być obecna przy tej rozmowie.

Malcolm Paterson zawahał się; przez chwilę wydawało się, że z wszystkiego zrezygnuje. Potem przyjrzał się Beth i skinął głową.

- Przekona się pan, że czasem jest nawet lepiej, kiedy przy podobnej rozmowie obecne są dwie osoby - dodała.

Jej słowa przekonały go ostatecznie.

- Chyba ma pani rację, proszę wejść.

Przepuścił ją przodem; wchodząc, zerknęła na Dominika. Miał lekko uniesione brwi, ale milczał. Wyczuwała, że wymiana zdań między nią a pacjentem musiała go rozbawić. Traktuje ją jak dziecko, które tupiąc nóżkami, za wszelką cenę chce postawić na swoim.

Ledwo usiedli, z ust Malcolma popłynęła lawina oskarżeń i zarzutów dotyczących złego traktowania pacjentów. Dominik przez dłuższą chwilę pozwolił mu mówić; potem zadał kilka pytań.

- Jak rozumiem, większość tych zarzutów dotyczy pana McGregora?

- Tak. Jest silny jak byk i złośliwy jak małpa. Całą swoją agresję wyładowuje na pacjentach. Personelowi też nieraz się dostaje. Sam słyszałem, jak traktuje młode pielęgniarki, z nikim się nie liczy. Bez przerwy szykanuje pacjentów. Jeśli który ma żonę, to mu mówi, że ona nieźle się zabawia, kiedy on siedzi w wariatkowie. Doprowadza ludzi do ostateczności, robi to specjalnie.

- Stosuje również przemoc fizyczną?

- Tak.

- Ma pan na to jakieś dowody? - wtrąciła Beth niespodziewanie i obaj spojrzeli na nią tak, jakby zapomnieli o jej obecności. - Musimy mieć dowody. Pielęgniarski pewnie zaprzeczy i dlatego potrzebny jest ktoś trzeci, kto potwierdzi pańskie słowa.

Malcolm milczał i przelęknęła się, że może popełniła błąd.

- Potwierdzą to, co powiedziałem, jeśli im się powie, że McGregor już tu nie wróci. Inaczej będą się bali zemsty.

- Zgłaszał pan już kiedyś podobne skargi?

- Wiele razy mówiłem doktorowi McCannowi, innym też. Nikt nie zwracał na to uwagi. Nie obchodzi ich, co mówi jakiś świr.

Zamierzali właśnie opuścić szpital, gdy na scenie pojawiła się zupełnie nowa postać. Doktor Simon Barr pracował w szpitalnej administracji i miał do nich bardzo ważną sprawę.

- Moglibyśmy się spotkać jutro rano?

Mówił niespokojnym głosem i cały czas rozglądał się na boki, jakby w obawie, że ktoś może ich podsłuchać.

- Oczywiście. Dziesiąta panu odpowiada?

- Tak, oczywiście, dziękuję. - Przez chwilę stał niezdecydowany. - Dzwoniłem do Donalda Gordona. On też chciałby się z państwem jutro spotkać. Jest przełożonym pielęgniarzy.

Dominik skinął głową.

- Bardzo dobrze, jego obecność jest bardzo wskazana. W takim razie spotkamy się jutro.

Zatrzymali się w małym hotelu niedaleko szpitala i szli właśnie korytarzem do swoich pokoi.

- Za piętnaście minut spotkamy się w barze.

Beth zatrzymała się pod drzwiami swojego pokoju; Dominik otwierał już drzwi sąsiedniego numeru.

Przez całą drogę ze szpitala prawie się do siebie nie odzywali, całkowicie skupiając się na mapie. Oboje musieli spokojnie zastanowić się nad tym, co usłyszeli, a do tego potrzebny był czas. Potem powinni spokojnie porozmawiać w bardziej odpowiednim miejscu niż samochód.

- Co o tym wszystkim sądzisz? - zapytał, kiedy już usiedli w kącie hotelowego baru z sandwiczami i kubkami kawy. Dominik uległ namowom barmana i zamówił szklaneczkę whisky. Pociągnął łyk i odstawił ją na stół.

- Będzie lepiej, jeśli omówimy wszystkie sprawy, zanim to wypiję. Whisky jest doskonała i chciałbym się nią delektować tak, jak na to zasługuje. Jakie masz wrażenie po tych rozmowach?

- Miałeś rację, w szpitalu dzieje się coś niedobrego.

- Wierzysz w to, co mówi Malcolm Paterson?

- Oczywiście. A ty masz jakieś wątpliwości?

Nawet jej przez myśl nie przeszło, że litania skarg, które usłyszeli, może być wyssana z palca. A może czegoś nie zauważyła? Może na coś nie zwróciła uwagi, zasugerowana wyglądem i zachowaniem pielęgniarza? Może wbrew postanowieniom uprzedziła się jednak do niego i wyciągnęła zbyt pochopne wnioski? To by znaczyło, że nie potrafi być obiektywna, i dyskwalifikowało ją pod względem zawodowym. A przecież po doświadczeniu z Marthą Bell przyrzekła sobie, że już nigdy nie pozwoli, by kierowały nią emocje.

Dominik milczał i czuła się fatalnie. Musiała znowu coś przeoczyć; ten mężczyzna pewnie kłamał, a ona nic nie spostrzegła. Już chciała zacząć się tłumaczyć, gdy Dominik powiedział:

- Nie, na razie ja też nie mam wątpliwości. Zastanawiam się tylko, jak to możliwe, że nikt nic z tym nie zrobił.

Odetchnęła z ulgą.

- Też się nad tym zastanawiam.

- Muszę przyznać - ciągnął, starannie dobierając słowa - że początkowo byłem sceptycznie nastawiony, ale relacji Malcolma nie można zlekceważyć. Nawet jeśli trochę przesadza, trzeba się całej sprawie dokładniej przyjrzeć.

- Tak.

- Musimy wysłuchać obie strony, Beth. Osobiście wierzę, że McGregor jest zdolny do stosowania przymusu fizycznego, ale zanim go osądzimy, musimy wysłuchać, co ma do powiedzenia.

- Nie sądzisz, że powinno go się tymczasowo zawiesić?

Nie chciała postępować zbyt pochopnie, ale w takich sytuacjach dopuszczano podobną możliwość. Personel bywał zawieszany w czynnościach służbowych na czas prowadzenia śledztwa w sprawie nadużyć, jakich - jak podejrzewano - się dopuścił.

- Może, ale zdążymy zająć się tym jutro - odparł.

Dopóki rozmowa dotyczyła spraw zawodowych, rozumieli się doskonale, gdy jednak zaczynała schodzić na inny plan, robiło się znacznie gorzej. Szybko skończyli kolację i poszli na górę.

Już na korytarzu poczuła, że cała sztywnieje, a przez ciało przebiega jej dreszcz. Zerknęła na idącego obok mężczyznę: był spokojny i zamyślony. Tak jakby fakt, że nagle znaleźli się sami w hotelu, gdzieś na końcu świata, nie robił na nim wrażenia. Zatrzymała się pod drzwiami swego pokoju z uczuciem, że przesadza i histeryzuje.

Dominik jeszcze przez chwilę szedł dalej, jakby nie zauważył, że została z tyłu, potem nagle zatrzymał się i spojrzał na nią. Zrobił kilka kroków w jej kierunku, jakby się nad czymś zastanawiając.

- Dobranoc, do jutra - powiedziała, kładąc rękę na klamce. Uśmiechnął się, podszedł i lekko pocałował ją w usta.

- Dobranoc, Betsabo - powiedział i odszedł do siebie. Zamknęła drzwi i oparła się o nie, z trudem łapiąc powietrze.

Było jej bardzo ciężko. Z każdym dniem było jej trudniej zachowywać się tak, jakby łączyły ich tylko stosunki zawodowe. Miała bardzo małe doświadczenie w sprawach uczuciowych i zupełnie nie wiedziała, co robić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Beth! Beth!

Śniło jej się właśnie, że jest przy niej. Słyszała czule słowa, jakie szeptał jej do ucha, czuła jego ręce na skórze. Jego głos stawał się coraz głośniejszy, coraz bardziej naglący...

- Beth! Wstawaj!

Dłonie, które jeszcze tak niedawno czule ją obejmowały, szarpnęły ją za ramię.

- Wstawaj! Beth!

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Dominik stoi przy jej łóżku.

- Co... - zaczęła, rozbudzając się z trudem - się stało...

Jeden rzut oka na jego twarz uświadomił jej, że stało się coś poważnego. Znalazł się w środku nocy w jej pokoju z powodów nie mających nic wspólnego z treścią jej snu.

- Ubierz się i zejdź na dół. Czekam na ciebie. Już był przy drzwiach.

- Ale dlaczego?

Nie odwrócił się, nie spojrzał na nią.

- Wszystko ci wytłumaczę w samochodzie - powiedział. - Dzwonił Simon Barr.

Wyszedł, a Beth nie zwlekając dłużej, wyskoczyła z łóżka.

- Co się stało?

Prowadził szybko, nie zwracając uwagi na ciemności i kręte uliczki nieznanego miasta. Na niebie świeciło kilka gwiazd, księżyc schował się za chmury.

- Simon Barr powiedział, że na oddziale doszło do awantury pomiędzy McGregorem a Patersonem. Podobno się pobili. Dołączyło się do tego kilku pacjentów.

Widać było, że cała historia bardzo go poruszyła.

- Takie rzeczy nie powinny się zdarzyć. Zacisnął dłonie na kierownicy. - Nie przewidziałem tego.

Był wściekły na siebie; nie zrozumiał w porę sytuacji i nic nie zrobił, by zapobiec konfliktowi. Beth czuła to samo; jako doświadczeni lekarze powinni byli przewidzieć wybuch. Może niepotrzebnie opuścili szpital...

- Dlaczego Simon Barr zadzwonił właśnie do ciebie?

- Nie bądź naiwna, chyba to oczywiste - odparł ostrym tonem i nie pytała o nic więcej. Odezwał się znów, dopiero gdy wjeżdżali na szpitalny parking. - Przepraszam, jestem zdenerwowany i dlatego nie mogłem się opanować. Przepraszam.

- Zawiadomiono już doktora McCanna? - zapytała niespokojnie i z ulgą spostrzegła, że Dominik kiwa głową.

- Tak. Dopilnowałem tego.

Simon Barr czekał na nich przy wejściu i od razu zaprowadził ich na oddział zamknięty. Zamiast krwawej jatki, której się spodziewała, Beth ujrzała milczących pacjentów stojących w małych grupkach; kilku siedziało z kubkami herbaty w rękach. Młoda pielęgniarka rozmawiała z jakimś pacjentem i z daleka widać było, że mimo iż jej rozmówca jest mniej więcej dwa razy większy od niej, całkowicie panuje nad sytuacją.

W kącie stało trzech mężczyzn, rozmawiających z ożywieniem. Jeden z nich, najwyższy i najwyraźniej najważniejszy, szybkim krokiem podszedł do Dominika.

- Nazywam się Donald Gordon, jestem przełożonym pielęgniarzy.

Spojrzenia, jakie wymienili z doktorem Barrem, powiedziały im, kto wezwał na oddział przełożonego pielęgniarzy.

- Cieszę się, że państwa widzę - ciągnął Donald Gordon, ściskając im dłonie. Był spokojny, ale napięcie na jego twarzy wskazywało na to, że jeszcze niedawno było tu groźnie. - Sytuacja została opanowana, jak państwo widzą.

Kątem oka spostrzegli, że drobna pielęgniarka i potężny pacjent nalewają sobie herbaty i dołączają do siedzących.

- Będą państwo chcieli teraz porozmawiać z pacjentami, którzy byli obecni przy zajściu?

- Jeśli uważa pan, że to właściwe. - Dominik skinął głową. -

Porozmawiajmy z osobami bezpośrednio zainteresowanymi, a resztę zostawmy na jutro.

- Dobrze.

Donald Gordon kiwnął głową z aprobatą i przystąpił do działania.

- Jedno z państwa może usiąść w moim pokoju, a... Drzwi wiodące na korytarz otworzyły się z głośnym trzaskiem i w progu pojawił się starszy mężczyzna.

- To doktor McCann - oznajmił cicho Donald Gordon, potwierdzając przypuszczenia Beth.

Dominik, który kiedyś poznał doktora McCanna, przywitał się z nim. Beth natychmiast spostrzegła napięcie między dwoma lekarzami. Było tak silne, że przez chwilę zastanawiała się, czy nie należy interweniować. W końcu usłyszała cichy, pełen tłumionego gniewu głos doktora McCanna:

- Pańska obecność, doktorze Farquhar, jest zbędna. Potrafię sam opanować sytuację na swoim oddziale.

- Niewątpliwie, ale w tym przypadku...

- O wszystkim zawiadomimy odpowiednie władze i zostaną przedsięwzięte właściwe środki - mówił dalej doktor McCann, jakby nie słyszał słów kolegi.

- Doskonale, ale jednak...

Doktor McCann nawet na niego nie spojrzał.

- Całkowicie panujemy nad sytuacją. Pańska obecność jest zbędna, powtarzam.

Dominik pozostał niewzruszony. Było jasne, że doktor McCann znalazł sobie godnego przeciwnika.

- Myli się pan, doktorze. Jeden z pacjentów wniósł skargę przeciwko pielęgniarzowi i musimy tę sprawę rozpatrzyć. Musimy też dowiedzieć się, dlaczego władze szpitalne zlekceważyły poprzednie skargi pacjenta i nie zrobiły nic, żeby nie dopuścić do otwartego konfliktu.

Doktor McCann wyraźnie zbladł i mocno zacisnął wąskie wargi, jakby się bał, że wymknie mu się coś bardzo niestosownego.

- A zatem, bez względu na to, co pan o tym sądzi, nasza obecność jest konieczna - podsumował Dominik.

Zamierzał natychmiast odbyć rozmowę z Malcolmem Patersonem i McGregorem, a z innymi pacjentami porozmawiać następnego dnia. Poprosił Beth, żeby mu towarzyszyła.

Malcolm Paterson wyglądał lepiej, niż się spodziewali. Miał co prawda podbite oko i spuchniętą twarz, ale poruszał się dziarsko i był w niezłej formie. W krótkich słowach zrelacjonował przebieg zdarzenia.

- Zapytał mnie, o czym z wami rozmawiałem. Powiedziałem, że to nie jego sprawa. Zaczął nalegać, ale ja się uparłem. Potem pomyślałem sobie, że właściwie dlaczego nie, powiem mu, niech wie. Powiedziałem, że wniosłem przeciwko niemu formalną skargę i opowiedziałem, jak nas tu traktuje. Wtedy się wściekł.

Malcolm spojrział na Beth, jakby się zastanawiał, jakich słów użyć.

- Rzucił się na mnie i mi... dołożył. Przewrócił mnie na ziemię, usiadł na mnie okrakiem i zaczął walić pięściami. Zbiegli się inni pacjenci i próbowali go odciągnąć, ale nie było łatwo. Jak taki facet zwali się na człowieka, to się poczuje!

Co do tego nie było wątpliwości. McGregor był dwa razy cięższy od Malcolma. Relacja pielęgniarza w ogólnych zarysach przypominała relację pacjenta. Rozbieżność dotyczyła meritum sprawy.

- Owszem, doszło do szamotaniny, ale ja nikogo nie zaatakowałem. To on rzucił się na mnie i musiałem się bronić.

- Pan Paterson oświadczył, że siedział pan na nim i okładał go pięściami.

- Musiałem go obezwładnić, ale wcale go nie biłem.

Wszystko wskazywało na to, że trzeba będzie przeprowadzić drobiazgowe śledztwo.

Kiedy tylko wyjechali za bramę, Dominik zwrócił się do Beth:

- Jakie są twoje pierwsze wrażenia?

- Sprowokował go.

- To jasne, ale to w niczym nie usprawiedliwia zachowania pielęgniarza.

- Ani przez chwilę tak nie myślałam. - Dlaczego on zawsze musi się sprzeciwiać; zupełnie jakby z góry zakładał, że ona musi się mylić. - Po prostu doszedł do wniosku, że tylko w ten sposób udowodni, że jego skargi są uzasadnione.

- Może... - Skupił się na prowadzeniu samochodu i dopiero po chwili odezwał się znowu: - Trochę mi żal tego McGregora.

- Chyba żartujesz! - Tego akurat spodziewała się najmniej.

- Spokojnie. Nie usprawiedliwiam jego zachowania, przemocy nie można usprawiedliwić. Ale nie należy zapominać, że pracuje w bardzo trudnych warunkach. Szpital jest biedny, personelu jest za mało. Przecież to niedopuszczalne, żeby w nocy na oddziale zamkniętym był tylko jeden pielęgniarz.

Musiała przyznać mu rację.

- Co w takim razie zrobimy?

- Sporządzimy dokładny raport i nadamy sprawie oficjalny bieg. To wszystko, co możemy zrobić. Ale tym zajmiemy się po powrocie do Glasgow, a teraz... teraz noc należy do nas.

Beth drgnęła. Co chciał przez to powiedzieć? Chyba nie myśli, że...

Reszta drogi upłynęła w milczeniu, a kiedy wreszcie znaleźli się w hotelu, natychmiast się dowiedziała, co miał na myśli. Uprzejmie życząc jej dobrej nocy, poszedł do swojego pokoju. Nie wiedziała, czy czuje się bardziej rozczarowana, czy uspokojona. W dwie godziny później, przewracając się z boku na bok i nie mogąc zasnąć, wiedziała już, że jest rozczarowana.

Po lecie przyszła jesień i niby wszystko było normalnie, a jednak życie Beth zupełnie się zmieniło. Dawna monotonia bezpowrotnie zniknęła, a na jej miejsce wtargnęła zmienność nastroju spowodowana nieobliczalnym zachowaniem Dominika. Kompletnie się w tym gubiła i nieraz zasięgała porad Morven. Uważała ją za bardziej obiektywną od Cassie.

- Nie mogę tego zrozumieć. Przecież podczas naszego powrotu z Highland i przez kilka następnych dni był w świetnym humorze.

- Często się widywaliście?

- Tak, razem opracowywaliśmy raport.

Morven nie musiała wiedzieć, że dzięki zgodnemu świadectwu doktora Barra i Donalda Gordona, którzy potwierdzili zeznania pacjentów, cała sprawa okazała się dość prosta.

- Co było potem?

- Potem nagle wszystko się zmieniło.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Co takiego zrobiłaś?

- Zachowywałam się normalnie, o ile to oczywiście możliwe. Jego obecność bardzo mnie denerwuje i dlatego czasem go unikam.

- Otóż to! - wykrzyknęła triumfalnie Morven. - Musiał się rozzłościć, kiedy spostrzegł, że przed nim uciekasz!

Beth nie słuchała jej, pogrążona w myślach.

- Czasem, kiedy razem pracujemy, jest taki miły i wesoły, że jest mi z nim bardzo dobrze. Ale potem nagle, bez żadnego powodu, zupełnie się zmienia.

Staje się niesprawiedliwy i wymagający, lekceważy moją pracę i jest nie do wytrzymania. Gdybym знаła przyczynę tej zmienności, jakoś bym sobie z tym poradziła, a tak...

- Może on tak reaguje na twoje zachowanie.
- Nie sądzę. Raczej nie zwraca na nie uwagi.
- A może zwraca, i to wszystko z frustracji...
- Dlaczego tak ciężko wzdychasz?

Drgnęła na dźwięk jego głosu. Stała w małej kuchence przeznaczonej dla personelu i bezmyślnie patrzyła w okno, czekając, aż zaparzy się kawa. Widać o czymś, a właściwie o kimś jednak myślała, skoro tak głęboko wzdychała...

Wszedł cicho i zaskoczył ją. Nie zdążyła odpowiedzieć, bo popatrzył na nią uważnie i wyszedł bez słowa.

Sytuacja stawała się nie do zniesienia; Beth czasem sama zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie w stanie pracować z Dominikiem, codziennie go widywać i udawać, że wszystko jest w porządku. Odkąd zrozumiała, co do niego czuje, nie zaznała chwili spokoju. Wiedziała, że nie potrafi przetrwać tej miłości, a jednocześnie nie była pewna, czy chce bez niej żyć. Najczęściej spychała wszystko w zakamarki podświadomości, w wyniku czego coraz częściej budziła się w nocy zalana łzami i płakała już do rana. Potem szła do pracy, pozornie spokojna i opanowana, i próbowała stawić czoło kolejnej fali emocji. Czasami, jakimś cudem, udawało się jej.

Niekiedy puszczała wodze fantazji i wyobrażała sobie, jak byłoby pięknie, gdyby zakochał się w niej, wyznał jej miłość i... gdyby żyli długo i szczęśliwie. Potem nagle się budziła i głęboko wzdychała. Sny na jawie powtarzały się coraz częściej, nachodziły ją nawet w pracy, i zdawała sobie sprawę, że jej stan psychiczny pozostawia coraz więcej do życzenia. Zmienne nastroje Dominika pogarszały tylko sytuację.

Jak błyskawica przemknęła jej przez głowę myśl, że powinna zmienić pracę, i natychmiast ją odeгнаła. Myśl, że mogłaby przestać widywać

Dominika, była nie do zniesienia. Może pewnego dnia, kiedy już nie będzie w stanie z nim pracować, ale nie teraz, jeszcze nie.

Wiedziała, że odejdzie natychmiast, jeśli Dominik się ożeni albo zwiąże z kimś na stałe. Wtedy nie będzie miała wyjścia. Odejdzie, problem rozwiąże się sam, bez jej udziału. Na razie jednak...

- W dalszym ciągu wzdychasz? - Znowu stał w progu, tym razem z kubkiem w ręku. - Bardzo jesteś zamyślona.

- Myślałam o doktoracie i o przyszłości - odrzekła, niezupełnie niezgodnie z prawdą. Skoro tak czy owak będzie musiała zmienić pracę, trzeba się poważnie zabrać do pisania pracy doktorskiej.

Uśmiech zniknął z jego twarzy i Beth zaczęła się modlić, żeby nie zaczął czytać w jej myślach.

- Nie chcesz chyba mnie opuścić, Beth? - zapytał bardzo cicho. - Nie możesz tego zrobić, nigdy. Jesteś mi bardzo potrzebna.

Gdyby mogła w to uwierzyć, gdyby chociaż mogła zapytać dlaczego... Uśmiechnął się znowu, nastrój powagi prysł.

- Nawet o tym nie myśl, Beth.

- Do widzenia, Robercie. - Beth roześmiała się do słuchawki i w tym samym momencie usłyszała trzaśnięcie drzwiami.

Uniosła oczy i zobaczyła Dominika; stał nad nią z wściekłością w oczach.

- Robert dalej jest aktualny? - syknął.

Powoli odłożyła słuchawkę, zahipnotyzowana jego spojrzeniem. Jej roześmiana twarz spoważniała, jakby ktoś nagle gąbką starł z niej uśmiech i radość życia.

Pochylił się ku niej i poczuła zapach jego wody kolońskiej. Odsunęła się, próbując nie patrzeć mu w oczy. Na policzkach czuła jego oddech.

- Spójrz na mnie, Beth - rozkazał. - Spójrz na mnie, Betsabo - powtórzył nieco łagodniej.

Uspokojona tonem, jakim wymówił jej imię w pełnym brzmieniu, zwróciła ku niemu oczy. Dominik patrzył teraz na nią z dziwną czułością w oczach.

- O co ci chodzi? - zapytała spokojnie i dopiero kpina w jego oczach uświadomiła jej, że on wie, ile ją kosztuje ten udany spokój i opanowanie.

- Opowiedz mi coś o tym Robercie.

Przez chwilę milczała, nie wiedząc, czy raz na zawsze wyjaśnić nieporozumienie, czy też nie. Jeśli mu powie, że Robert jest po prostu jej chrzestnym synem, Dominik straci tę odrobinę zainteresowania, jakie w nim wzbudza. Ponadto dobrze jest mieć na wszelki wypadek takiego zagadkowego Roberta, to świetna wymówka. Dominik poważniej traktuje osobę, która ma życie prywatne.

- Nie ma wiele do mówienia, po prostu... - zaczęła.

- Powiedz mi wszystko, a ja już sam zadecyduję, czy warto było o tym mówić - przerwał jej bezceremonialnie.

- Nie rozumiesz tego.

Ciekawe, jak by zareagował, gdyby powiedziała, że Robert jest małym dzieckiem? Pomyślałby, że sobie z niego kpi czy raczej, że świadomie wprowadziła go w błąd? Dominik wyprostował się, skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał na nią z góry. Jego spojrzenie znowu stało się lodowate.

- Zamierzasz go poślubić?

- Nie rozumiesz, że...

- Tu nie ma wiele do rozumienia, Beth. Sprawa jest prosta: musisz zrozumieć, że nie powinnaś wychodzić za tego faceta.

- Wyjdę, za kogo będę chciała! - wybuchnęła nagle.

Nie myślała już o wyjaśnianiu, kim naprawdę jest Robert. Musiała się bronić.

- Tak myślisz? A ja w dalszym ciągu czekam na odpowiedź, dlaczego wtedy nie zgodziłaś się wyjść... za mnie!

Zapadło złowrogie milczenie i poczuła przerażenie. Miała nadzieję, że zapomniał o tamtej koszmarnej rozmowie i nigdy już do niej nie wróci. Jak on śmie? Jak śmie przypominać jej tamtą upokarzającą scenę? Dlaczego wraca do sprawy, która dla niego jest przedmiotem żartów, a dla niej kwestią życia lub śmierci?

- Za kogo wyjdę, czy wyjdę i kiedy wyjdę, to moja prywatna sprawa! - powiedziała ze złością.

Musiała przyznać, że potrafił ją wyprowadzić z równowagi jak nikt. Był mistrzem w odkrywaniu jej drugiej, gorszej natury. Miała wrażenie, że jest zadowolony z efektu, jaki osiągnął, bo w jego głosie była teraz pobłażliwość i pewność siebie.

- Możesz mi nic nie mówić o tym swoim Robercie, ja i tak wszystkiego się dowiem. Zaproszę was oboje, na przykład, na kolację i zobaczę na własne oczy, jakich mężczyzn lubisz.

- Nie!

Teraz wyglądał na naprawdę rozbawionego.

- Nie? Dlaczego, Beth? Boisz się?

- Ja... Nie wiem, czy będziemy mogli przyjść.

- Bzdura. Nie możesz odmówić. Umawiamy się jutro, powiedzmy o ósmej - chwilę się wahał - w tej włoskiej restauracji, co ostatnio. Miło było, prawda? - Uśmiechnął się sztucznie i dodał: - Zarezerwuję stolik, ty masz tylko przyjść, wyglądać cudownie i przyprowadzić Roberta. On może sobie wyglądać, jak chce.

Następnego dnia już w południe była u kresu sił. Dominik ledwo pojawił się w pracy, zaraz przystąpił do rzeczy.

- Na wieczór wszystko gotowe. Nic się nie zmieniło, prawda?

Myślała o tym przez całą noc i coś niecoś wymyśliła. Opracowała zwięzły i dość prosty plan. Zdecydowanie odrzuciła myśl o powiedzeniu Dominikowi prawdy. Doszła też do wniosku, że wykręty w stylu "Robert dzisiaj nie może" na

nic się nie zdadzą, bo Dominik po prostu zmieni datę spotkania. Jedyne sposoby to udawać, że wszystko jest dobrze, a potem w ostatniej chwili zrobić unik.

Kiedy za pięć piąta zadzwonił telefon, rzuciła się do niego, jakby się paliło. Dominik, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności był właśnie w jej gabinecie, spojrzał na nią zdziwiony, ale nic nie powiedział.

- Dzwonię, jak prosiłaś, Beth - powiedziała Cassie. - O co chodzi?

Odsunęła się, by Dominik nie mógł usłyszeć, że dzwoni kobieta.

- Witaj, Robercie, czy coś się stało? Cassie siłą powstrzymała się od śmiechu.

- Myślisz, że ci się uda? - parsknęła.

- Nie możesz? Dlaczego? Naprawdę? Bardzo szkoda.

Próbowała nadać głosowi różne tony: zdziwienie mieszało się z żalem, zawód z lekką irytacją. Nie patrzyła na Dominika, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Reszta rozmowy polegała już tylko na zdawkowych bąknięciach „tak”, „nie”, „rozumie”, „oczywiście”, i końcowym „powiem mu”, na które Cassie zareagowała chichotem. Zadbala nawet o to, by powiedzieć: „Zadzwoń później i powiedz mi, jak to się skończyło”, i odłożyła słuchawkę.

Kiedy spojrzała na Dominika, przybrał już minę przypadkowego słuchacza, niezbyt zainteresowanego rozmową, której mimochodem był świadkiem.

- Mam nadzieję, że z Robertem wszystko w porządku - rzucił od niechcienia.

- Niestety nie - odparła, mając nadzieję, że nie słyszał chichotu Cassie. Próbowała nie patrzeć mu w oczy.

- Cóż takiego się stało?

- Ma zebranie - skłamała niezbyt gładko - nie będzie mógł przyjść.

Obawiam się, że nic nie wyjdzie z naszej kolacji. Szkoda i bardzo dziękuję za zaproszenie.

- Rzeczywiście wielka szkoda - rzekł powoli Dominik. Nawet jeśli coś podejrzewał, wyraz ulgi malujący się na twarzy Beth przekonał go ostatecznie, że nie ma do czynienia z wymówką. - Nie rozumiem tylko, dlaczego mamy zaraz wszyscy rezygnować z tego wieczoru. Możemy pójść bez niego.

- Chyba... - Tego nie przewidziała. Wcale nie miała zamiaru iść z nim na kolację.

- Marianne bardzo się cieszyła z tego spotkania - dodał, nie zwracając uwagi na jej spłoszone spojrzenie.

Okazało się, że zawsze może być gorzej; spotkanie z Marianne zapowiada się jak tortura. Beth nie mogła sobie wyobrazić, że ma usiąść przy stole z tą piękną kobietą i spędzić cały wieczór, widząc, jak ci dwoje są szczęśliwi. Ma tak siedzieć, uśmiechać się, patrzeć na prześliczną twarz tamtej i widzieć spojrzenie Dominika? Przecież od razu widać, że on ją traktuje zupełnie inaczej niż wszystkie swoje dotychczasowe przyjaciółki. Jest dla niego kimś ważnym i wyjątkowym. Pewnie to właśnie ją wybrał sobie na żonę.

To, że nie potrafiła nie lubić Marianne, wszystko dodatkowo komplikowało. Marianne była otwarta, serdeczna i szcera. Komuś takiemu nie można źle życzyć, a przecież jeśli ona, Beth, tam z nimi usiądzie, cały czas będzie sobie wyobrażała, że Marianne w jakiś tajemniczy sposób znika i zostają sami. Gdyby Marianne chociaż trochę przypominała Helenę, można by sobie wmówić, że taka kobieta tylko unieszczęśliwi Dominika. Beth miałyby obowiązek bronić go przed nią. Ale tak?

Rozpaczliwie próbując zrozumieć, co Dominik do niej mówi, przestała śnić z otwartymi oczami. Niech chociaż po nią nie przyjeżdżają, niech jej przynajmniej pozwolą samej przyjechać do tej restauracji.

- Weź taksówkę - poradził Dominik - żebyś też się mogła napić.

Planowała właśnie, że przyjedzie własnym samochodem, żeby mieć pretekst do unikania alkoholu. W ten sposób lepiej panowałyby nad sytuacją.

Nie bez znaczenia był przy tym fakt, że po kolacji mogłaby wrócić do domu sama, nie ryzykując, że Dominik postanowi ją odwiedzić.

Skinęła z rezygnacją głową i nastawiła się na najgorsze. Wieczór zapowiadał się strasznie, ale wiedziała, że jakoś musi przez to przejść. Za to jutro wszystko się zmieni. Od jutra weźmie sprawy w swoje ręce i nie pozwoli traktować się jak bezwolne narzędzie. Nie będzie żyła z dnia na dzień, czekając na cud. Nic się samo nie zmieni, jawa nie zamieni się w sen, szczęściu trzeba pomóc. Inaczej jej marzenia nigdy się nie spełnią.

Zrozumiała, że motyl musi nareszcie raz na zawsze wydobyć się z poczwarki. Zostawić poprzednie wcielenie za sobą i nigdy już do niego nie wracać. Wiedziała, że motyle żyją bardzo krótko i że nie ma wiele czasu. Dlatego nie może dłużej czekać, musi zacząć od jutra.

Pomógł jej włożyć płaszcz. Próbowwała opanować drżenie, ale działał na nią silniej, niż była w stanie przyznać przed sobą.

Wieczór okazał się przyjemniejszy, niż przypuszczała. Nie było tak strasznie. Marianne od razu przejęła prowadzenie i tak kierowała rozmową, żeby wszyscy czuli się dobrze i swobodnie. Dominik kilka razy pozwalał sobie na ironiczne docinki, ale obracała je w żart, i pogawędka toczyła się dalej.

Dominik i Marianne robili wrażenie osób znających się od lat i bardzo zżytych. Beth zastanawiała się, czy czasem nie pochodzą z zaprzyjaźnionych rodzin. To by wiele wyjaśniało; nabierała coraz większej pewności, że tę właśnie kobietę Dominik wybrał na żonę.

- A teraz pojedziemy do mnie na kawę - oświadczyła stanowczo Marianne, kiedy skierowali się ku wyjściu z restauracji. Spojrzała przy tym na Dominika, jakby wzrokiem nakazywała mu posłuszeństwo. Lekko wzruszył ramionami i skinął głową.

Beth próbowała coś powiedzieć, ale Marianne nie dopuściła jej do głosu. Ciekawe, dlaczego tak nalega na to, by do niej poszli? To coś więcej niż zwykła uprzejmość. Czyżby Marianne nie zależało na tym, żeby побыć z nim sam na

sam? Gubiąc się w domysłach, Beth wsiadła do samochodu. Marianne usiadła z tyłu, ustępując jej miejsce obok kierowcy.

- Musisz koniecznie zobaczyć moją lampę - odezwała się, kiedy ruszyli - i powiedzcie, czy pasuje do wnętrza. Dominikowi się nie podoba, ale on jest strasznie konserwatywny i zacofany.

Roześmiała się i położyła rękę na jego ramieniu; wymienili w lusterku porozumiewawcze spojrzenia.

- Uważam, że było dobrze tak, jak było - wyjaśnił. - To wszystko.

Znowu zerknęli na siebie w lusterku.

- Potrafi być straszny - westchnęła Marianne. - Nienawidzi zmian.

- To nie całkiem prawda - w głosie Dominika brzmiało raczej rozbawienie niż chęć oczyszczenia się z zarzutów - chociaż muszę przyznać, że nie wszystkie zmiany mi odpowiadają. Czasem lepiej zostawić rzeczy takimi, jakimi są. „Inne” nie zawsze znaczy „lepsze”.

Zupełnie jakby myślał o metamorfozie, która zaszła w Beth. Czy naprawdę wolał ją taką, jaką była? Czy jest wrogiem zmian, jakie wprowadziła w swoim wyglądzie?

Mieszkanie Marianne idealnie pasowało do gospodyni. Było śliczne, oryginalne i nieco ekstrawaganckie. Lampa w korytarzu wyglądała świetnie. Beth porównała w myślach swoje stonowane lokum z barwnym wyposażeniem wnętrza, w którym się znalazła. To, co ujrzała, zrobiło na niej wrażenie.

Marianne poszła do kuchni zrobić kawę. Usiedli w milczeniu w fotelach.

- Naprawdę ci się podoba? - zapytał po chwili, a kiedy spojrzała na niego pytająco, wyjaśnił: - To mieszkanie, korytarz, lampa.

- Tak... - odparła, starannie unikając jego wzroku. - Jest takie oryginalne, bardzo do niej pasuje.

- Ja wolę twoje. - W jego głosie zabrzmiała szczerłość. - Lepiej w nim się czuję. Mógłbym... - Poczowała, że krew pulsuje jej w skroniach. - Beth...

Wejście Marianne przerwało mu. Gospodyni, piękna jak marzenie, szła ku nim z tacą w rękach.

Co chciał powiedzieć? Beth woląca o tym nie myśleć; marzyła, żeby jak najszybciej się stąd wydostać. Nie miała siły ani chęci na gubienie się w domysłach, które muszą okazać się fałszywe. Szybko wypila kawę, parząc sobie usta.

- Marianne, mogę zadzwonić po taksówkę? - spytała.

- Nie!

- Dominik cię odwiezie.

Odezwali się jednocześnie i Beth nie bardzo wiedziała, czy kategorię „nie” naprawdę padło z ust Dominika.

- Nie chciałabym go fatygować. - Beth spojrzała na gospodynię, ale Dominik już wstawał.

Nie miała wyjścia; musiała wstać i się pożegnać. Gdyby teraz upierała się, że woli jechać sama, mogliby pomyśleć, że boi się zostać sam na sam z Dominikiem, a to mogłoby ich doprowadzić do wniosku, którego za wszelką cenę chciała uniknąć!

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Powiedziałaś tak tylko przez grzeczność? - zapytał z powątpiewaniem w głosie. - Przecież to mieszkanie zupełnie nie jest w twoim stylu. Te wszystkie krzykliwe kolory, pretensjonalność. To do ciebie nie pasuje.

Nie patrzył na nią. Mogła dostrzec jedynie jego profil.

- Nie bardzo rozumiem - odparła chłodno.

- Czego? Tego o grzeczności czy stosunku do jaskrawych barw? - I nie czekając na odpowiedź, dodał: - Mimo wszystkich zmian, jakie w tobie zaszły, nadal uważam, że takie ekstrawagancje nie są twoją specjalnością.

Powiedział to w taki sposób, że natychmiast znienawidziła to słowo: eks-tra-wa-gan-cja.

- Wyglądasz teraz na osobę niezwykle wyrafinowaną i wyzwoloną, ale mam wrażenie, że pod tym makijażem stale ukrywa się dawna Beth, która tylko czeka, żeby wydostać się na powierzchnię.

Zaniemówiła. Nawet po nim nie spodziewała się takiej arogancji. W jego mentorskim głosie było tyle pewności siebie, że kompletnie osłupiała. Chciała odpowiedzieć i - zastygła z otwartymi ustami.

- Nie zaprzeczaj, i tak ci nie uwierzę - ciągnął tym samym nonszalanckim tonem. - Musi być strasznie trudno żyć tak pod tą maską. Nie rozumiem, po co się tak męczyć. Zrzuć ją i wracaj do dawnej postaci.

Gorączkowo szukała słów, mogących odeprzeć niespodziewany atak, ale słowa nie przychodziły. Obcesowość Dominika odebrała jej zdolność myślenia.

- Nie masz nic do powiedzenia, Beth?

Nie odwrócił głowy, nie spojrzał na nią, ale i tak wiedziała, że uśmiecha się drwiąco.

- Bardzo dobrze. To twoje milczenie potwierdza tylko to, co mówiłem. Jest bardziej wiarygodne od maski, którą ostatnio sobie sprawiłaś.

- Przestań! - krzyknęła, nawet nie próbując zachować zimnej krwi. Dławiła ją wściekłość. Jak on może tak z niej kpić? Jak może w taki sposób żartować sobie ze zmian, które z takim wysiłkiem wprowadziła nie tylko do swego wyglądu, ale - co było o wiele trudniejsze - do sposobu myślenia? On nie jest w stanie docenić tego, co zrobiła, lekceważy jej wszystkie wysiłki, bo lekceważy ją samą i nie ceni jej. Nic dla niego nie znaczy ani ona, ani jej śmieszne dążenie do doskonałości.

- Przestań!

Jego uśmiech powoli znikł.

- Nareszcie - rzekł, poważniejąc. - Już myślałem, że nigdy nie zareagujesz. Przecież nie myślisz chyba, że mówiłem poważnie.

Ponieważ milczała, spojrzał na nią z niepokojem.

- Beth, ty uwierzyłaś, że mówię poważnie? Jak mogłaś?

Samochód zatrzymał się pod jej domem i natychmiast otworzyła drzwi, zamierzając wyskoczyć bez pożegnania. Zatrzymał ją i siłą zwrócił ku sobie jej twarz. Zobaczyła w jego oczach niepokój i troskę. To dodało jej pewności siebie. Postanowiła milczeć; milczenie było teraz najlepszą bronią.

- Powiedz, że żartujesz. - W jego głosie brzmiała prośba. - Przed chwilą ja sobie żartowałem, a teraz ty odpłacasz mi pięknym za nadobne, prawda? Przecież nie mogłaś uwierzyć, że naprawdę myślę to, co mówię.

Powoli uniosła na niego oczy, rozkoszując się chwilową przewagą. Zasłużył sobie na to milczenie.

- Dlaczego? - powiedziała w końcu. - Tyle razy dawałeś mi do zrozumienia, że nie pochwalasz zmian, jakie we mnie zaszły, że uznałam, że i tym razem mówisz to, co myślisz.

Przerwała i głęboko odetchnęła. Nie powinna mówić za dużo; w stanie, w jakim się znajduje, łatwo może powiedzieć rzeczy, których mówić nie powinna.

- Tłumaczysz mi, że tylko żartowałeś, ale jak mogę ci wierzyć? Sądzę, że to, co powiedziałaś, jest prawdą; tak właśnie myślisz, chociaż sam przed sobą nie chcesz się do tego przyznać.

Wyraz jego twarzy przekonał ją, że strzał był celny; tym razem to on miał kłopoty ze znalezieniem odpowiednich słów.

- Zastanów się nad tym, co powiedziałam - dodała.

Jego oczy pociemniały z gniewu. Szybko wysiadła z samochodu i pobiegła w stronę drzwi prowadzących do budynku, w którym mieszkała.

Łzy zaczęły płynąć jej po policzkach już na klatce schodowej. Za sobą słyszała kroki, szybkie kroki podążającego za nią mężczyzny. Wiedziała, że to Dominik, i wiedziała, że nie jest w stanie prowadzić z nim żadnych rozmów. Chciała zostać sama; musi jakoś przyzwyczać się do myśli, że nic dla niego nie znaczy, tak jak nic dla niego nie znaczy cały wysiłek, jaki włożyła w to, żeby odmienić swoje życie.

Dopadła drzwi i drżącą ręką umieściła klucz w zamku. Przekręciła go, szybko weszła i już miała zatrzaskać drzwi za sobą, kiedy ktoś jej w tym przeszkodził.

- Odejdź stąd.

- Nie możesz mówić takich rzeczy, a potem odchodzić sobie jakby nigdy nic! - Był wściekły i to sprawiło, że natychmiast odnalazła w sobie siły, żeby stawić mu czoło. Jak on śmie? Jak śmie na nią krzyczeć? Po tym wszystkim, co zrobił i powiedział!

- Mogę mówić, co zechcę - wycedziła. - Mogę mówić, co chcę i kiedy chcę, zwłaszcza w moim własnym mieszkaniu! A teraz zamierzam powiedzieć: wynoś się stąd, i to już!

- Nie. - Jego głos brzmiał już spokojnie i poważnie. - Nie wyjdę stąd, bo musimy porozmawiać. Teraz, zaraz.

- Jeśli natychmiast nie wyjdiesz, zadzwonię na policję.

Zrozumiała, że popełniła błąd. Nie wolno grozić, jeśli się nie ma szans wprowadzić groźby w czyn. Zapomniała o tym i zagalopowała się. Nie zadzwoni przecież na policję i Dominik o tym wie, właśnie dlatego odprężył się i lekko uśmiechnął. Jednym nieostrożnym słowem sprawiła, że przewaga jest teraz po jego stronie. Oddała mu prowadzenie i on zrobi wszystko, by to wykorzystać. Stali naprzeciwko siebie i jedno z nich rozkoszowało się smakiem zwycięstwa.

- Może zrobisz nam kawę - powiedział spokojnie i skierował się do salonu.

Oczami duszy zobaczyła tamtą scenę, kiedy po raz pierwszy gościła go u siebie. Wzdrygnęła się; wspomnienie nie było przyjemne.

- Nie będę cię zatrzymywać - powiedziała, siląc się na normalność i zdając sobie sprawę, że o normalnym zachowaniu między nimi dwojgiem nigdy nie będzie mogło być mowy.

A może naprawdę powinni porozmawiać? Może Cassie ma rację, mówiąc, że Dominikowi jest trudno przystosować się do zmian, jakie w niej zaszły? Nigdy się nad tym nie zastanawiała. Nie chciała słuchać słów Cassie, bo bała się dodatkowych komplikacji. A przecież jako psychiatra powinna wiedzieć, że różnica punktów widzenia może tylko pomóc w zrozumieniu sytuacji, a nie - utrudnić je.

Czuła, jak walczą w niej dwie istoty, z których jedna gotowa jest ustąpić i przyzwolić na rozmowę, a druga - całą sobą buntuje się, każąc mieć się na baczności. Dominik, z jej własnej winy, uzyskał już przewagę; teraz gotów jest powiększać rozmiary zwycięstwa, by ostatecznie uderzyć i zniszczyć ją. Nie może na to pozwolić.

- Nie będzie kawy ani miłosierdzia, czyż nie tak postanowiłaś, Betsabo?

To przesądziło o wszystkim. Nie pozwoli mu dłużej naigrawać się z siebie, nie pozwoli, by ją traktował jak małą, zalęknioną dziewczynkę. Niech mówi, co ma do powiedzenia, i wychodzi.

Szybkim krokiem weszła przed nim do salonu. Odwróciła się; stali teraz twarzą w twarz.

- Słucham. Co masz mi do powiedzenia? Znajdowali się bardzo blisko siebie.

- Ostrożnie, Beth. - Z udaną troskliwością ujął ją pod ramię. - Chyba nie wypijaś za dużo? Lepiej będzie, jak usiądziesz.

Doskonale wiedział, ile wypijała, i wiedział, że w żadnym razie nie było tego „za dużo”. Podprowadził ją do kanapy, posadził i zajął miejsce tuż obok niej.

W spojrzeniu, jakim ją obrzucił, wyczytała, że jest zachwycony swą zręcznością. Zwykle tak patrzył, kiedy udało mu się pokonać jakąś wyjątkowo trudną przeszkodę.

Po chwili jednak spowaźniał.

- Dajmy spokój tym gierkom, Beth. Myślę, że już najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali naprawdę szczerze. Jak sądzisz?

Nie mogąc wymówić słowa, lekko poruszyła głowę. Uznał to za zgodę. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

Nie miała siły przeczyć ani się przeciwstawić. Ona też czuła, że to nieuniknione; nadeszła godzina prawdy i trzeba będzie raz na zawsze skończyć z fałszywą sytuacją.

Ciekawe, czy on też myśli o tym samym, co ona? O tamtym nieszczęsnym wieczorze, o tej kanapie i tym, co wtedy między nimi zaszło...

Wyprostował się i wygodnie oparł ręce na oparciu kanapy. Beth poczuła się nieco bezpieczniej.

- Może jednak pójde zaparzyć kawę. Nie pozwolił jej wstać.

- Teraz już za późno, Beth. Nie możesz uciekać.

Nagle znalazł się bardzo blisko niej i zrozumiała, że przestaje nad sobą panować. Jej ciało szukało bliskości jego ciała, szukało jego pocałunków.

W tym, że pozwala mu się całować, nie ma przecież nic złego. W ten sposób utrwali swoje wspomnienia, a skoro i tak się z nim rozstanie, przynajmniej będzie miała piękne wspomnienia. Tej właśnie chwili...

Zastanawiała się, jak to możliwe, że pozwala się całować komuś, kto traktuje ją jak bezwartościowy przedmiot, jak zabawkę, jak... Nic mnie to nie obchodzi, odpowiedziało w niej coś, czego nie знаła, chce, żeby mnie całował. Objęła go mocno i przyłgnęła do niego całym ciałem. Poczowała jego dłonie na skórze. Dawna, ostrożna, zalekniona Beth stale próbowała ją przekonać, że powinna wyrwać się z jego ramion i uciec; nowa, śmiała, gotowa na wszystko Betsaba z przyjemnością reagowała na jego gesty, rozkoszując się nieznanymi doznaniem.

Nie wiedziała, kiedy zdjął z niej sukienkę i stanik i rzucił je na podłogę. Zasłoniła się rękami. Dominik lekko odsunął jej dłonie.

- Od dawna chciałem cię tak zobaczyć...

Poddała się jego pieszczotom i zaczęła je odwzajemniać. Zdjęła mu koszulę i zaczęła pieścić jego ciało.

- Nie musimy się śpieszyć, Beth. Mamy przed sobą całą noc. Bardzo cię pragnę, ale myślę, że byłoby nam wygodniej, gdybyśmy się z tej kanapy przenieśli do sypialni.

W jego głosie była czułość, a usta gotowe były całować ją bez końca, a jednak te słowa podziałały na nią jak kubeł zimnej wody. Cała magia nagle gdzieś się ulotniła i została chłodna rzeczywistość, w której nie było miejsca na złudzenia.

Dominikowi na niej nie zależy, nic do niej nie czuje. Pożąda jej, a pożądanie nie ma nic wspólnego z szacunkiem, poważaniem, miłością. Bardzo pragnęła kochać się z nim, lecz wiedziała, że to niemożliwe. Nie może się oddać komuś, kto jej nie kocha. On jej nie kocha. Kocha...

Jak mogła o tym zapomnieć! On kocha Marianne!

Zerwała się z kanapy, odtrącając go i boleśnie uderzając w brzuch. Jęknął i uniósł na nią zdumione spojrzenie.

- Beth, co się stało?

Szybko wciągnęła na siebie sukienkę, kopnęła stanik pod kanapę, żeby zlikwidować najmniejsze nawet świadectwo tego, co się przed chwilą działo, i rzuciła sucho:

- Opamiętałam się, to wszystko.

Zapięła sukienkę i odwróciła się w jego stronę. Zadrżała, bojąc się, że za chwilę się załamie i znowu wróci w jego ramiona. Wróciło przypomnienie jego ciała i pieszczoty jego rąk. W oczach Dominika dostrzegła pożądanie.

On jej pragnie. Może powinna... Może znowu popełnia błąd...

Tym razem jednak zdrowy rozsądek zwyciężył. To, że Dominik jej pożąda, niczego nie zmienia. Jest zwyczajnym, normalnym mężczyzną i reaguje tak na kobietę, która mu się podoba. Podoba mu się, chociaż teraz, po tym wszystkim, musi wyglądać okropnie. Na pewno rozmazał jej się makijaż.

Lekko dotknęła dłonią policzka; był bardzo gorący.

Dominik wstał i podszedł do niej. Nie włożył koszuli i Beth poczuła zapach jego skóry. Splotła dłonie, żeby go nie objąć i nie przytulić. Napięcie, które między nimi zapanowało, było tak wielkie, że niemal fizycznie czuła jego ciężar. Już miała go dotknąć, zapominając o wszystkich powodach, dla których nie powinna tego robić, kiedy nagle Dominik odwrócił się, sięgnął po koszulę i powoli zaczął ją wkładać.

Było to dziwnie podniecające, zupełnie jak striptiz oglądany od końca. Patrzyła na niego z nie skrywanym podziwem. Spostrzegł jej wzrok i odczytał go właściwie.

- Co teraz, Beth? Żałujesz, że tak szybko zrezygnowałaś? Niestety, już za późno na zmianę zdania. Postanowiłem, że nie będziemy się kochać. Myślałem, że zmieniłaś się wystarczająco, żeby wiedzieć, czego chcesz, i że potrafisz stać się partnerką dla mężczyzny, ale myliłem się. Dalej uciekasz. Tak samo boisz

się seksu, tak samo boisz się mężczyzn jak dawniej. Nie musisz się obawiać, już nie będę próbował. Dostałem dzisiaj nauczkę. Jestem za stary na zabawę z małą dziewczynką, która postanowiła nigdy nie dorosnąć. Nie bawi mnie to. Mogłoby się wiele między nami stać, ale nie masz odwagi, żeby spróbować.

Zapiął koszulę i włożył ją w spodnie.

Słyszała jego słowa, ale nie chciała rozumieć ich sensu. Odrzucała je, nie dopuszczając do serca ani umysłu. Nie mogła sobie pozwolić na zrozumienie ich, bo gdyby tak się stało, musiałyby przyznać mu rację, a do tego nie chciała dopuścić.

Nastaly potem godziny płaczu i rozpamiętywań, w ciągu których musiała przyznać, że w słowach Dominika było dużo prawdy. Bała się, to prawda, bała się swoich uczuć, ale obawiała się ich znacznie mniej niż przedtem. Po prostu brakowało jej praktyki.

Nadal była tamtą nieśmiałą, lękliwą dziewczynką, o której mówił, ale wiedziała już, że taka właśnie jest i że powinna coś z tym zrobić. Zawsze szukała schronienia w pracy i nie miała doświadczenia z mężczyznami. Z czasem to się zmieni i stanie się kobietą świadomą swoich uczuć i pragnień, nauczy się je okazywać i przestanie się bać. Z czasem...

A on nie chce czekać. Jest zbyt niecierpliwy. Nie potrafi sprawić, by poczuła się bezpieczna, otoczona czułością i wolna. Widzi tylko swoje potrzeby i niewiele obchodzi go to, czego potrzebuje ona.

Pogodziła się już z myślą, że go kocha. Nie mogła jeszcze pogodzić się z myślą, że miłość oznacza odpowiedź na potrzeby i pożądanie drugiej osoby. Nie umiała tego zrobić, a świadomość, że Dominik nic do niej nie czuje, sprawiała, że nie widziała sensu takich odpowiedzi. Jedno było pewne: spotkanie się z nim w pracy i nieustanne udawanie jest ponad jej siły.

Prędzej czy później, wbrew temu, co powiedział, sytuacja z poprzedniego wieczoru powtórzy się, a wtedy ona nie znajdzie już siły, by się opierać. Jej własne ciało przekona ją, że to niemożliwe.

Nie ma co chować głowy w piasek, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i zobaczyć to, co nieuniknione. A to oznacza opuścić szpital i znaleźć sobie inną pracę.

Alternatywą jest bezsensowny, absurdalny romans z mężczyzną, który jej nie kocha, pragnie tylko zaspokoić pożądanie. Wtedy też będzie musiała odejść, nieco później, nieco bardziej zraniona, ale będzie musiała przestać go widywać. Lepiej zrobić to wcześniej, kiedy jest jeszcze dość silna. To tchórzostwo, unik, ucieczka, ale nie potrafi zrobić nic innego. Lepiej uciec w bezpieczne miejsce, niż narażać się na niebezpieczeństwo, którego rozmiarów i konsekwencji nawet nie potrafi sobie wyobrazić.

Wreszcie zasnęła, a kiedy się obudziła, w sypialni było pełno słońca. Zerwała się z łóżka i pobiegła do łazienki. W przelocie rzuciła okiem na zegarek. Zaspała! Jak mogła zapać takiego dnia!

Było dwadzieścia po dziewiątej; właśnie narzucała na siebie płaszcz, kiedy zadzwonił telefon.

- Gdzie ty się podziewasz?

Bez powitania, bez wstępnych uprzejmości, po prostu złość i wyrzuty.

- Jak widzisz, jestem w domu.

Ze zdziwieniem spostrzegła, że jego złość dodaje jej pewności siebie - tak jakby na płaszczyźnie walki czuła się najbezpieczniej.

- Co ty tam znowu kombinujesz, Betsabo?

Zawsze, kiedy tak ją nazywał, miękły jej kolana i czuła dziwną słabość. Źle zrobiła, że mu powiedziała, jak naprawdę brzmi jej imię. Zresztą nigdy nie czuła się Betsabą.

- Zaspałam.

- Co?

- Zaspałam.

Oczami duszy zobaczyła go, jak wisi nad biurkiem ze słuchawką w ręku i osłupiałym wzrokiem. Cisza w słuchawce upewniła ją, że tym razem to ona kontroluje sytuację.

- Właśnie wkładałam płaszcz, zaraz będę.

- W porządku.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Nic nie szkodzi. - Mówił zdławionym głosem, jakby coś miał w gardle.

- Dzwoniłeś w ważnej sprawie?

- Co?

Zupełnie jakby jej pytanie z jakichś niewiadomych względów zaskoczyło go.

- Dlaczego do mnie dzwonisz? Stało się coś?

- Nie, to znaczy tak. Myślałem, że może postanowiłaś wcale nie przychodzić.

- Ja...

- Nic nie mów.

Rozłączył się i powoli odłożyła słuchawkę, zupełnie nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Dlaczego ma nic nie mówić? Na wszelki wypadek rozplakała się znowu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przez cały dzień Dominik obchodził się z Beth jak z jajkiem albo z osobą ciężko chorą, którą trzeba traktować ostrożnie i troskliwie. Czuwał nad każdym swoim słowem, jakby się bał, że ją zrani. Krępowало ją to i niepokoiło.

Żadne z nich ani słowem nie wspomniało o poprzednim wieczorze ani o porannej rozmowie telefonicznej. Beth starała się nie zwracać uwagi na niezwykle zachowanie Dominika, bo nie miała siły zastanawiać się, co może oznaczać.

Mglisto przypominała sobie postanowienia, jakie podjęła w nocy, ale nie była w stanie zrobić nic, by choć w części je urzeczywistnić. Myśl o Marianne prześladowała ją i sprawiała dojmujący ból; wiedziała, że musi jak najszybciej znaleźć nową pracę, a potem starać się żyć w miarę normalnie.

Następny tydzień spędziła poza szpitalem, odwiedzając chorych w domu. Sprawy pacjentów szybko ją pochłoneły i prawie zapomniała o Dominiku. Wszystko, co dotyczyło pogmatwanej sfery ich stosunków, zepchnęła na dalszy plan, mimo iż miała świadomość, że podobny zabieg nie wróży nic dobrego.

Pacjenci czuli się nieźle, leki skutkowały, nie było żadnych komplikacji i miała powody do zadowolenia. Próbowwała czerpać odrobinę satysfakcji z faktu, że pod względem zawodowym wszystko jest w porządku.

Sprawy dotyczące pacjentów omówiła później z Bobem Muirem.

- Najpierw Barry Miller. Bierze nowe leki i dobrze je toleruje.

Prawdopodobnie niedługo znowu wróci do domu i zajmie się nim pielęgniarz środowiskowa. Mam wrażenie, że bardzo się wystraszył tym, co się stało ostatnim razem, kiedy samowolnie odstawił leki, i drugi raz czegoś takiego nie zrobi.

- Jednym słowem, nieźle.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie wydarzeń w szpitalu w Highland. Oświadczenia złożone przez Barra i Gordona są wystarczające, żeby całą sprawę załatwić po myśli pacjentów. Andy McGregor już został zwolniony z pracy.

- A co z doktorem McCannem?

- Nie wiem. - Beth zamrugnęła oczami. - On też powinien odejść, ale... Sam wiesz, jak w takich razach bywa.

- A sprawa Jenny Sullivan? Bardzo się w to zaangażowałaś. - Bob uniósł rękę, jakby chciał uprzeczyć jej protesty. - Nie zaprzeczaj, tak właśnie było.

- Nie dopatryliśmy się żadnych poważniejszych zaniedbań ze strony personelu szpitalnego. Tam była bardzo skomplikowana sytuacja rodzinna. Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego rodzice Jenny sprzeciwiali się jej małżeństwu z Billem. Jest źle wychowany, impulsywny i zadziorny, ale nic poza tym. Pielęgniarki go nie lubiły, bo był wobec nich nieuprzejmy, a do tego rodzice pacjentki stale mówili, że źle traktuje ich córkę.

Bob swoim zwyczajem protekcyjnie poklepał ją po ramieniu. Tym razem zniosła to bez sprzeciwu.

- Widzę, że wszystko idzie całkiem dobrze i można spokojnie patrzeć w przyszłość - powiedział na zakończenie.

W przyszłość? W jaką przyszłość? Co ją może czekać? Lubiła swój zawód i pacjentów, praca w komisji dostarczała jej satysfakcji; jedyny problem stanowił Dominik. Kiedy wreszcie ostatecznie się zdecyduje i odejdzie z komisji, podejmie pracę w jakiejś klinice, żeby być bliżej pacjentów. Przez kilka ostatnich lat, zajęta sprawami interwencyjnymi, zaniedbała praktykę i miała świadomość, że nadszedł czas powrotu do źródeł.

Prędzej czy później musi podjąć ostateczną decyzję; trzeba zainteresować się sytuacją na rynku pracy i napisać podania do kilku szpitali. Psychiatra z jej doświadczeniem nie powinien mieć trudności ze znalezieniem zajęcia. Rzecz w tym, że praca nie jest tu najważniejsza. Najważniejszy jest Dominik, ale o nim na razie nie chciała myśleć.

Po raz drugi zastukała do drzwi i czekała. Poprzedniego pacjenta nie było w domu i obawiała się, że sytuacja może się powtórzyć. Co za pech... Zapukała jeszcze raz; z głębi domu dobiegł ją jakiś dźwięk, jakby ktoś się poruszył. Nikt jednak nie podszedł do drzwi i uznała, że po prostu jej się wydawało.

Już miała odejść, kiedy nagle drzwi się otworzyły i na progu zobaczyła Ewena Huntera. Był rozczochrany i spuchnięty; jego twarz pokrywał kilkudniowy zarost. Widać było, że pośpiesznie wciągnął na siebie koszulkę i slipy; nie zdążył nawet włożyć spodni.

- Kim pani jest? O co chodzi? - Spojrzał na nią spode łba; wyraźnie nie był nastawiony na przyjmowanie gości.

Natychmiast zrozumiała, że jego stan jest spowodowany gripą i nie ma nic wspólnego z chorobą psychiczną. Szybko wyjaśniła mu, kim jest i z czym przychodzi. Pokaszłując i kichając, mężczyzna skwapliwie zaprosił ją do środka.

- Zapomniałem, że miała pani przyjść, przepraszam za ten bałagan. Od kilku dni okropnie się czuję i ledwo wstaję z łóżka.

- Ma pan bardzo brzydki kaszel.

- To zapalenie oskrzeli.

- Był pan u lekarza? Mężczyzna opadł na fotel.

- W zeszłym tygodniu poszedłem do przychodni, ale nie zastałem mojego doktora i przyjął mnie jakiś nowy, młody szczawik. Powiedział, że wszystko sobie wymyśliłem i nic mi nie jest. - Rozkaszał się i przez chwilę nie mógł mówić. - Nic mi nie zapisał - dodał po chwili. - Chciał ze mną rozmawiać tylko o schizofrenii. Mówiłem mu, że jestem pod stałą kontrolą specjalistów i że przyszedłem z powodu kaszlu, ale nie chciał słuchać. W kółko pytał, czy mam omamy i czy słyszę jakieś głosy. Chyba zwariował! Nigdy w życiu nie słyszałem żadnych głosów!

Znowu zaniósł się kaszlem. Beth odczekała, aż atak minie, pogrążona w niewesołych myślach. Wiedziała z doświadczenia, że podobne sytuacje zdarzają się, niestety, dosyć często. Uśmiechnęła się smutno: nieraz już słyszała skargi

pacjentów, mówiących, że kiedy zgłaszają się do internisty z jakąś chorobą, ten wypytuje ich o stan psychiczny. Fakt, że pozostają pod opieką psychiatryczną, naznacza ich raz na zawsze. Tak jakby to, że cierpią na psychozę, wykluczało możliwość zapadnięcia na zapalenie płuc czy grypę. Zupełnie jakby schizofrenik nie miał prawa chorować jak każdy inny człowiek...

- Zaraz to załatwimy - powiedziała. - Ma pan numer telefonu swojego lekarza? Zamówimy wizytę domową.

- Mam jego numer, ale nie mam telefonu.

- Ale ja mam. - Beth szybko wyjęła z torebki aparat komórkowy.

Ewen Hunter przyjrzał mu się uważnie.

- To nawet niezłe - rzekł z uznaniem. - Nie sądziłem, że ta zabawka może się na coś przydać. Zawsze myślałem, że ludzie noszą to przy sobie, żeby pokazać, jacy są ważni. Śmiałem się z takich, co to wyjmują to cacko na ulicy i do niego gadają, a tymczasem proszę, proszę...

Chciał się roześmiać, ale przerwał mu nowy atak kaszlu. Beth zamówiła wizytę i zaczęła się żegnać, obiecując, że zajrzy do niego w przyszłym tygodniu. Jeden rzut oka na pacjenta i krótka rozmowa wystarczyły jej, by ocenić sytuację: pod względem psychicznym Ewen Hunter jest w stanie zadowolającym i na razie może być o niego spokojna. Na wszelki wypadek postanowiła zajrzeć do niego za kilka dni. Odprowadził ją do drzwi.

- Do widzenia, pani doktor. Trzeba przyznać, że wy, psychiatrzy, nieraz do czegoś się przydajecie. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby pani dziś do mnie nie przyszła.

Beth otworzyła drzwiczki samochodu z poczuciem, że wreszcie komuś na coś się przydała.

Tego samego wieczoru miała spotkanie z grupą pacjentów, którzy po opuszczeniu oddziałów psychiatrycznych regularnie spotykali się na zajęciach terapeutycznych. Celem spotkań było utwierdzenie ich w przekonaniu, że nie są sami i mogą liczyć na pomoc ze strony kolegów i opiekunów we wszystkich

życiowych sprawach. Beth doceniała tę formę terapii i sądziła, że zajęcia grupowe pozwalają przezwyciężyć skutki choroby równie dobrze jak leki. Członkowie grupy na każde spotkanie zapraszali kogoś z lekarzy i teraz właśnie nadeszła jej kolej.

Zamierzała wygłosić krótki referat o pracach komisji dyscyplinarnej, dać kilka przykładów dotyczących jej działalności i na tym zakończyć swoje wystąpienie. Ledwo zabrała głos, przerwano jej.

- Mimo pracy w tej swojej komisji, w dalszym ciągu jest pani psychiatrą, prawda? Jest pani jedną z nich. - Rudowłosy chłopak wstał i spojrzał na nią oskarżycielsko.

Zauważyła go zaraz po wejściu do sali; przez cały czas swego wystąpienia zastanawiała się, kiedy jej przerwie. Wytrzymał dłużej, niż przypuszczała.

- Tak - przyznała - jestem lekarzem psychiatrą, ale wolałabym w czasie naszej rozmowy nie dzielić ludzi na „nas” i „was”. - Uśmiechnęła się. - Skoro mamy razem pracować...

- Zawracanie głowy! - Młody człowiek podniósł głos. - Jak możemy razem pracować, kiedy pani może w każdej chwili kazać nas zamknąć! Należy pani do nich! Jest pani częścią systemu, który...

- Wcale nie! Ona nie! - krzyknął ktoś z sali.

Zapanował ogólny chaos, nad którym przez chwilę nikt nie panował. Sprawa wyraźnie wymknęła się organizatorom z rąk i Beth postanowiła przejąć prowadzenie. Ktoś musi coś z tym zrobić, w przeciwnym razie może dojść do rękoczynów...

- Chciałabym po prostu opowiedzieć, czym się na co dzień zajmuję - oznajmiła lekko podniesionym głosem, starając się przekrzyczeć gwar. - A potem chciałabym usłyszeć wasze uwagi i propozycje. Dobrze byłoby, żebyśmy się wspólnie zastanowili, co możemy razem zrobić.

Hałas nieco ucichł, tak jakby przynajmniej kilka osób uznało, że można dać jej szansę. Tylko rudzielec wykrzykiwał jeszcze coś wojowniczo. Kiedy się uspokoił, Beth mówiła dalej.

Najpierw uświadomiła słuchaczom, że komisja jest tworem mającym na celu łagodzenie konfliktów pomiędzy pacjentami a personelem medycznym, ze specjalnym uwzględnieniem skarg na wszelkiego rodzaju zaniedbania i utrudnienia występujące w ich wzajemnych stosunkach.

- Chcielibyśmy nie tylko łagodzić istniejące konflikty, ale przede wszystkim zapobiegać im na przyszłość - zakończyła. - Jesteśmy komisją królewską, co znaczy, że jesteśmy niezależni od rządu, a to daje nam pełną niezawisłość i samorządność. Możemy zupełnie obiektywnie rozpatrywać wszelkiego rodzaju sprawy, z dala od nacisków i wpływów.

Rudowłosy chłopak natychmiast zareagował inwektywami i przez ponad pół godziny próbowała go uspokoić, opanowanym głosem przedstawiając swoje racje. Wreszcie z ulgą spostrzegła, że organizatorzy też mają już dosyć i wstają, by wszystkich obecnych zaprosić na kawę.

Wracała do domu z mocnym postanowieniem zmiany miejsca pracy i poświęcenia się wyłącznie pracy w klinice. Czowała się zmęczona; nadszedł czas, by coś zmienić, i to ostatecznie.

- Beth! Dawno cię nie widziałam! Jak się miewasz?

Jessica Balfour-Knight wpadła na nią niespodzianie podczas zakupów i Beth, mimo zamyślenia, natychmiast ją poznała: miała przed sobą koleżankę ze studiów i pierwszych lat pracy.

- Dziękuję, dobrze - odrzekła automatycznie. - Rzeczywiście bardzo długo się nie widziałyśmy - dodała, obejmując wzrokiem zaokrągloną figurę Jessiki.

- Właśnie. - Jessica położyła sobie rękę na brzuchu. - Sama widzisz, co u mnie. Mam przed sobą jeszcze dwa miesiące tej męki. Myślisz, że utyję jeszcze bardziej?

W jej oczach był uśmiech, ale w głosie brzmiała nadzieja, że odpowiedź będzie przecząca. Beth bezlitośnie pokiwała głową.

- Oczywiście, że tak. Kilka lat temu spotkałam kobietę, która...

- Nie chcę słuchać takich rzeczy. - Jessica komicznym ruchem zatkała sobie uszy. - Zapomnij o wszystkich kobietach w ciąży, które widziałas w życiu, i nie strasz mnie. Lepiej powiedz, co się z tobą działo.

Beth wzruszyła ramionami.

- Nic ciekawego. W każdym razie nie zaszłam w ciążę.

Powiedziała to tak dziwnym głosem, że Jessica spojrzała na nią podejrzliwie.

- Tak mówisz, jakbyś żałowała... Chodź, pójdziemy razem coś zjeść i o wszystkim pogadamy.

Kiedy usiadły, dokładnie obejrzała siebie Beth.

- Wyglądasz wspaniale. To i owo już słyszałam o zmianach, jakie w tobie zaszły. Wiesz, jak ludzie plotkują... A najgorsi są faceci. Chyba pierwszy mi o tym powiedział Michael.

- Tak... Doszłam do wniosku, że muszę coś z sobą zrobić, coś wreszcie zmienić.

Beth nie miała ochoty mówić na temat zmian, jakie zaszły w jej wyglądzie, ale wiedziała, że to nieuniknione. Każdy, kto widział ją po raz pierwszy od czasu jej metamorfozy, musiał się zdziwić, a ona bez oporów zaspokajała jego ciekawość. Tym razem postanowiła załatwić sprawę w kilku zdaniach.

- A co na to ten niesamowity facet, ten twój szef? - Jessica, zupełnie nieświadomie, wsadziła kij w mrowisko.

- Nic.

Beth poczuła, że się czerwieni, zupełnie jakby Jessica mogła natychmiast zdemaskować jej kłamstwo. Koleżanka jednak nie zwracała na nią uwagi, zapatrzona w jakiś punkt.

- Wiesz, myślę, że popełniłam błąd, wychodząc za Michaela - powiedziała wreszcie.

Beth spojrzała na nią ze zdziwieniem; zawsze myślała, że Jessica i Michael są idealnym małżeństwem.

- Teraz ci wszyscy cudowni mężczyźni są dla mnie straceni raz na zawsze - dokończyła teatralnym szeptem Jessica i Beth zrozumiała, że koleżanka żartuje.

- Przecież wyszłaś za jednego z nich - powiedziała i przypomniała sobie Michaela, jasnowłosego, wysportowanego olbrzyma o twarzy aktora filmowego.

- Twój mąż jest niesamowicie przystojny.

Jessica westchnęła.

- Ale Dominik też jest niezły...

Beth przygryzła wargi, by nie zaprotestować. Dominik też jest niezły? Też? Przecież Dominik jest o wiele atrakcyjniejszy od Michaela! Jak w ogóle można ich porównywać!

Pohamowała się w porę. Byłoby bardzo niegrzeczne mówić tak o cudzym mężu, a do tego mogłoby to skierować rozmowę na niepożądany temat.

Wszystko, co dotyczy pewnego wysokiego, ciemnowłosego i bardzo przystojnego lekarza, należy do tych spraw, których trzeba za wszelką cenę unikać. Chcąc zmienić temat, powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy:

- Szukam pracy.

- Naprawdę? - Jessica zdziwiła się, a zaraz potem ze zrozumieniem pokiwała głową. - To chyba dobry pomysł, już strasznie długo pracujesz w tej komisji.

Teraz z kolei zdziwiła się Beth. Reakcja koleżanki uświadomiła jej, że w zamiarze zmiany pracy nie ma nic nadzwyczajnego; może rzeczywiście najwyższy czas...

- To znaczy... Nie śpieszy mi się, ale...

- Rozumiem.

Jessica przez chwilę milczała, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Słyszałam, że szukają kogoś u Michaela - powiedziała w końcu. -

Potrzebują chyba dwóch konsultantów. Mogę z nim porozmawiać, jeśli chcesz.

- To nic pilnego, tak tylko myślę, że kiedyś w przyszłości...

- Po prostu go zapytam, o co dokładnie chodzi. Mówił mi o tym kilka dni temu, ale nie zwróciłam na to uwagi. Wspominał coś o etacie w szpitalu...

- To by mnie nawet interesowało.

Właśnie czegoś takiego szukała; pracy w klinice, wyłącznie z pacjentami, to właśnie było jej potrzebne i zadzwoniłaby tam natychmiast, gdyby nie...

Gdyby nie to, że nie może żyć bez Dominika.

- W takim razie pogadam z Michaelem, dobrze?

Beth przełknęła ślinę i z wysiłkiem pokiwała głową.

- Oczywiście, dobrze.

Mimo postanowienia, że już z nikim nie będzie rozmawiała na ten temat, w sobotę wdała się w dyskusję z Cassie. Ku jej ogromnemu zdumieniu pomysł zmiany pracy nie zyskał aprobaty przyjaciółki.

- Przede wszystkim musisz z nim to omówić - oświadczyła Cassie.

- Jak ja mogę z nim to omówić? - spytała Beth, szeroko otwierając oczy. - Przecież właśnie z nim nie mogę rozmawiać na ten temat.

- Po prostu powiedz mu, tak ogólnikowo, że nie wykluczasz, że kiedyś w przyszłości możesz odejść z komisji. Wtedy może ci powie, co naprawdę myśli na ten temat. Daj mu szansę. Te wszystkie domysły i gdybania nie zaprowadzą cię daleko.

- A jeśli powie, że chce, żebym odeszła? - W głosie Beth brzmiała niepewność i lęk. Gdyby naprawdę tak powiedział... Co innego rozmyślać o różnych sprawach, a co innego usłyszeć wprost, że on nie chce jej widzieć.

- Wtedy przestaniesz się miotać i będziesz mogła nad wszystkim poważnie się zastanowić. - Cassie wzruszyła ramionami. - A tak stale tylko

rozmyślasz, co się stanie, jeśli zostaniesz, a co się stanie, jeśli odejdiesz, i tak dalej. To do niczego nie prowadzi. Nie możesz żyć w ciągłej niepewności.

Beth w duszy przyznała jej rację. Niełatwo jest posłuchać głosu rozsądku. Rozum nakazywał jej odejść, serce radziło zostać. Nie była pewna, czy rady innych ludzi mogą jej pomóc w podjęciu właściwej decyzji. Sama wie jedno: jeśli zostanie, wszystko jeszcze może się zdarzyć, jeśli odejdzie, nie zdarzy się nic. Dominik natychmiast o niej zapomni i nie będzie już żadnej nadziei.

Stawka jest wysoka i wszystko zależy od tego, czy ona, Beth, jest na tyle silna, by stawić czoło rzeczywistości. Czy potrafi znieść jego słowa, czy jest przygotowana na to, że Dominik ją zrani, czy jest gotowa spojrzeć prawdzie w oczy i określić swoje własne uczucia...

- Może masz rację - rzekła niepewnie. Cassie energicznie przytaknęła.

- Oczywiście, że mam. Gdyby George był tutaj, powiedziałby dokładnie to samo!

Jej pewność siebie zbiła Beth z tropu; postanowiła zmienić temat i skierować rozmowę na George'a, który wyjechał na kilka dni w sprawach zawodowych i miał wrócić dopiero pod koniec następnego tygodnia.

Przed wyjściem poszła ucałować Roberta; dziecko wydało jej się jakiegoś nieswoje. Już miała zwrócić na to uwagę przyjaciółki, kiedy Cassie ją uprzedziła:

- Coś mu dzisiaj jest. Nie bawi się, nie uśmiecha, jest blady. Jeśli do jutra to nie przejdzie, pójdę do lekarza.

Beth położyła rękę na czole chłopca. Nie było gorące.

- Chyba wszystko w porządku, nie ma gorączki. Nie ma powodu do obaw - powiedziała, mimo woli czując, jak ogarnia ją niepokój.

Kiedy wróciła do domu, nie myślała już o Robercie. Jak zawsze, wszystkie jej myśli skupiły się na Dominiku. Zadzwoiła do Morven, żeby zasięgnąć rady.

- Musisz z nim porozmawiać - usłyszała w odpowiedzi. - Nie masz innego wyjścia.

Odbicie w lustrze zadowoliło ją całkowicie. Miała na sobie ulubioną, ciemnozieloną sukienkę, w której czuła się pewnie i swobodnie. Włosy miała uczesane, staranny makijaż. Schowała szminkę Diora do torebki i po raz ostatni zerknęła w lustro.

Wiedziała już, co ma zrobić, chociaż świadomie nie podjęła jeszcze żadnej decyzji.

Porozmawia z nim. Nie ma żadnego powodu, by nie rozmawiać z nim o przyszłości. Oczywiście, tylko tak, ogólnie i zdawkowo, ale wspominając o zamiarze ewentualnej zmiany pracy. Będzie musiał coś odpowiedzieć i wtedy pozna jego zdanie. Nie zaangażuje się zbyt wiele i zawsze będzie mogła się wycofać. Jeśli wyczuje, że Dominik chce, by odeszła, zmieni temat, ale na przyszłość będzie wiedziała, czego się trzymać. Cassie miała rację; najgorsza jest niepewność, nieustanne zawieszenie, domysły i gdybanie.

Nie wiedziała, czy Dominik coś wyczuł, czy po prostu sam z siebie postanowił być miły. Przywitał ją uśmiechem i poczuła, że atmosfera jest mniej napięta niż ostatnim razem, kiedy rozmawiali.

- Zapraszam cię na kolację, Betsabo. - W jego głosie zabrzmiało coś dziwnie uroczego.

- Dziękuję.

Zamierzała być swobodna, ale gdy lekko dotknął jej policzka, natychmiast zeszywniała i skuliła się w środku.

Dlaczego z taką łatwością wyprowadza ją z równowagi? Dlaczego wystarczy jeden przelotny ruch jego ręki, żeby traciła wątek i czerwieniła się? Była na siebie wściekła.

- Koniecznie musimy porozmawiać - rzucił jeszcze przez ramię i poszedł w stronę jej gabinetu. Szła za nim, przyrzekając sobie, że już nigdy nie pozwoli

mu tak na siebie działać jak przed chwilą. Przecież to nie do pomyślenia, żeby jej nastrój zmieniał się tak całkowicie w zależności od jego widzimisię.

Weszli do gabinetu i wtedy właśnie zadzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę i nie od razu zrozumiała, kto mówi. Cassie bełkotała coś nieskładnie. Kiedy w końcu Beth pojęła znaczenie wypowiedzianych przez nią słów, poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

- Uspokój się i opowiedz mi wszystko po kolei!

Kątem oka dostrzegła twarz Dominika, spiętą i uważną. Przestał przeglądać papiery i nie spuszczał z niej wzroku.

- Robert? Boże! Gdzie teraz jesteście? Co oni mu robią?

Zacisnęła rękę na słuchawce, próbując powstrzymać łzy. Na ramieniu poczuła dłoń Dominika. Płynęła z niej siła i pokrzepienie. Przytuliła na chwilę policzek do jego ręki.

- Powiedz, gdzie jesteście. Już tam jadę. - Odłożyła słuchawkę i uniosła oczy na stojącego nad nią mężczyznę. - Muszę...

- Tak, wiem, zawiozę cię. W takim stanie nie możesz sama jechać.

Wziął jej torebkę i płaszcz, i wyprowadził z gabinetu.

- A te dokumenty? - zdążyła jeszcze zapytać.

- Praca może poczekać.

Ręce tak jej się trzęsły, że nie była w stanie sama zapiąć pasów. Dominik pomógł jej jak dziecku i przez krótką chwilę patrzył na łzy, które płynęły po jej twarzy.

- Nie płacz, Beth - powiedział cicho i delikatnie starł jej łzy z policzka. - Musisz być silna. Łzy nic nie pomogą ani tobie, ani Robertowi. Nie możesz się zjawić w szpitalu w takim stanie.

- Biedny Robert... Dziękuję ci. Jakby nie usłyszał.

- Wiesz, co mu się stało?

- Nie bardzo. Od kilku dni źle się czuł. - Głos Beth zadrżał, ale szybko się opanowała. - Na pewno wszystko będzie w porządku - rzekła stanowczo - on

musi wyzdrowieć. Bardzo go kocham i nie potrafię pogodzić się z myślą, że coś mu się może stać.

Na szczęście nie wyjechali jeszcze z parkingu, bo Dominik raptownie skręcił, jakby nie panując nad kierownicą. Minęli się o włos z wjeżdżającym właśnie na parking roverem. Beth nie zwróciła uwagi na sposób, w jaki Dominik zacisnął usta ani na ton jego głosu.

- Nie wiedziałem... - powiedział bardzo cicho i zerknął na nią spod oka. Siedziała obok niego, skulona i zapłakana. Poklepał ją po dłoni uspokajającym gestem. - Zaraz będziemy w szpitalu. Jeszcze chwila, wytrzymaj. Musisz wytrzymać.

- Dziękuję ci.

Wyjechali z parkingu i trzeba było się zdecydować, dokąd właściwie chcą jechać.

- Gdzie on teraz jest, Beth?

- Jak to gdzie? W szpitalu.

Spojrzała na niego z wyrzutem; przecież już mówiła: Robert został odwieziony do szpitala.

- Rozumiem - powiedział łagodnie - ale w którym?

Nie bardzo pojmowała, o co mu chodzi. Przecież w mieście jest tylko jeden szpital dziecięcy.

- W Yorkhill - mruknęła, nie spuszczać z niego zdziwionego spojrzenia.

Samochód wykonał gwałtowny skok i Dominik szybko wyprowadził go na prostą.

- W szpitalu dziecięcym? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Oczywiście. A gdzie ma być?

W jej głosie brzmiało zniecierpliwienie i zdenerwowanie; zupełnie wyleciało jej z głowy, że Dominik uważa Roberta za dorosłego człowieka, z którym łączą ją zażyłe stosunki.

- Kto do ciebie dzwonił? - zapytał po chwili.

Pytanie było niewinne, ale pewne sprawy mogło wyjaśnić.

- Cassie. George wyjechał na jakiś kurs i Cassie jest sama. Strasznie się przestraszyła, biedaczka, a ja jestem jego matką chrzestną i dlatego zadzwoniła do mnie. Muszę tam jechać - tłumaczyła gorączkowo.

Poczuł, że kamień spada mu z serca.

- Tak, musisz tam jechać, kochanie - powiedział.

Było mu żal chorego dziecka, ale czuł niewymowną ulgę na myśl o tym, że ów tajemniczy Robert znika z życia Beth i wszystko zaczyna się układać w spójną całość.

Dostali się do szpitala bez większych przeszkód i już po chwili Beth wpadła w ramiona Cassie. Obie zalały się łzami.

- Nie chcą mi nic powiedzieć - łkała Cassie. - Nawet nie wiem, co mu jest. Beth, zrób coś!

- Zaraz się dowiem - uspokajał ją Dominik - ale najpierw nam powiedz, co się właściwie stało.

- Od dwóch dni był jakiś nieswój, grymasił i popłakiwał, a dzisiaj był taki rozpalony, nie chciał jeść. Zadzwoniłam do lekarza i zaraz kazał nam tu przyjechać.

- Gdzie jest teraz? - zapytała Beth.

- Robią mu prześwietlenie - chlipnęła Cassie.

- Która z pań jest panią Simpson? - spytała nagle młoda pielęgniarka i pytająco spojrzała na obie kobiety.

- To ja. - Cassie wysunęła się do przodu.

- Może pani iść do dziecka, zaraz będzie wynik prześwietlenia.

Cassie spojrzała błagalnie na przyjaciółkę.

- Beth, chodź ze mną.

Dominik dołączył do nich po kilku minutach, niosąc kawę w plastikowych kubeczkach. Stały pochylone nad uśpionym dzieckiem.

- Lekarz zaraz tu przyjdzie - oznajmił. - Właśnie kończy przeglądając zdjęcia. Zawiadomiłaś już męża? - zwrócił się do Cassie.

Łzy znowu popłynęły jej z oczu.

- Nie mogłam, telefon stale był zajęty, dlatego zadzwoniłam do Beth.

Kubeczki z kawą niebezpiecznie drgnęły.

- Daj mi numer, postaram się zadzwonić - rzekł Dominik i wzięwszy od Cassie karteczkę z numerem, szybko poszedł do automatu.

Kiedy wrócił, z kobietami rozmawiał już młody lekarz; w dłoni trzymał zdjęcie rentgenowskie. Właśnie unosił je pod światło.

- Jak pani widzi, można tu dostrzec coś jakby niewielkie zaciemnienie, ale to nie jest nic groźnego.

- Na pewno? - zapytała Beth.

- Wszystko na to wskazuje - odparł wymijająco.

Beth pomyślała, że ze względu na obecność matki mógłby włożyć w swoją odpowiedź nieco więcej emocji, ale zaraz w duchu przyznała, że każdy lekarz tak właśnie odpowiedziałby przed postawieniem ostatecznej diagnozy.

- Ale co mu jest? Jak to się nazywa? - nie ustępowała Cassie. - Proszę mi powiedzieć.

- To zwężenie przerostowe odźwiernika - odrzekł pediatra.

- Na zdjęciu dokładnie tego nie widać, ale można wyczuć taki mały guzek, jakby kulkę, w jamie brzusznej. Jest podobny do guza nowotworowego, ale...

Cassie wybuchnęła płaczem.

- O Boże! Moje dziecko ma raka! Zniosła się płaczem.

- Nic podobnego. - Młody lekarz pokręcił głową. - To nie jest złośliwy nowotwór.

- To nic groźnego, Cassie, to tylko takie małe opuchnięcie. - Beth objęła przyjaciółkę ramieniem i przytuliła ją do siebie.

- Rodzaj zgrubienia - odezwał się milczący dotąd Dominik.

- Właśnie. - Młody lekarz spojrział na nich z wdzięcznością.

- W okolicy żołądka powstało małe zgrubienie, które utrudnia procesy trawienne, wywołuje obstrukcję i powoduje, że nie cały pokarm wędruje z żołądka do dwunastnicy. Dlatego dziecko źle się czuje. Ponadto ma gorączkę, bo jest odwodnione.

- Co z nim chcecie teraz zrobić?

- Właśnie dajemy mu kroplówkę, żeby uzupełnić poziom płynów w organizmie, bo wymioty bardzo go odwodniły. Potem zostanie przewieziony do sali operacyjnej na zabieg. Chciałem prosić o wyrażenie zgody na operację.

- O Boże, operacja... - jęknęła Cassie, ale Beth i Dominik natychmiast jej wyjaśnili:

- Przecież to tylko zabieg.

- Do tego bardzo krótki.

- I zupełnie bezpieczny - dodał lekarz. - To naprawdę rutynowy zabieg. Dziecku nic nie grozi, proszę się nie martwić. Bardzo szybko wróci do normy i będzie go pani mogła zabrać do domu.

- Na pewno?

- Oczywiście - odrzekła chórem trójka lekarzy.

Cassie wzrokiem odprowadziła wózek odwożący Roberta do sali operacyjnej, jednym uchem słuchając Dominika, który mówił, że przed chwilą dodzwonił się do George'a i ten jest już w drodze. Potem usadowił obie kobiety w poczekalni, a sam zszedł na dół, by poczekać na George'a. Następnie zamierzał odwiedzić Beth do domu i zadać jej kilka bardzo ważnych pytań.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

George dotarł do szpitala i zajął się pocieszaniem żony; operacja Roberta skończyła się pomyślnie i małemu pacjentowi nic już nie groziło; Beth popłakała sobie serdecznie, co znacznie jej ulżyło, a Dominik...

Dominik stał właśnie w jej kuchni i robił kawę.

Musiała przyznać, że od chwili dramatycznego telefonu Cassie zachowywał się bez zarzutu, a może nawet... jak prawdziwy przyjaciel.

Drzwi otworzyły się i Beth przymknęła powieki. Spod rzęs śledziła jego ruchy. Dominik podszedł bliżej i postawił kubki z kawą na małym stoliczku. W polu widzenia miała teraz jego dłoń i skrawek niebieskiej koszuli.

- Lepiej się czujesz? - Usłyszała jego głos, ale nie otworzyła oczu. - Płacz zawsze przynosi ulgę, Beth.

Co on może o tym wiedzieć? - pomyślała złośliwie. Kiedy ostatni raz płakał? Ton jego głosu zaniepokoił ją jednak. Dostrzegła w nim stanowczość: tak jakby rola wyrozumiałego przyjaciela znudziła mu się i postanowił wreszcie przejść do rzeczy. Kącikiem oka dostrzegła, że Dominik siada w fotelu; mimo swobody ruchów, wyczuła w jego zachowaniu napięcie i zdenerwowanie. Przygotowywał się do rozstrzygającej rozmowy. Otworzyła oczy i sięgnęła po kubek z kawą.

- W takim razie słucham, Betsabo.

Nie musiał tego mówić. Wiedziała, że czeka na wyjaśnienia dotyczące Roberta. Westchnęła ciężko, ale nie poskutkowało.

- To twój chrzestny syn, tak? - spytał z ironią w głosie i postanowiła potraktować to jak deskę ratunku.

- Chyba mogę mieć chrzestnego syna - odparła z godnością, udając urażoną. - To nie jest zabronione.

- Oczywiście, że nie. Tylko nie musisz udawać, że jest twoim kochankiem.

- Wcale nie udawałam, to znaczy nie specjalnie. Sam wpadłeś na ten pomysł.

Nie pozwolił zbić się z tropu.

- Ale nie zrobiłaś nic, żeby mnie wyprowadzić z błędu. Ciekawi mnie, dlaczego tego nie zrobiłaś. Chciałaś, żebym myślał, że Robert jest twoim kochankiem.

- Wcale nie! To nieprawda!

- Chyba jednak tak. Przecież teraz, kiedy wszystko się wydało, czujesz się niepewna i zagrożona.

Odwróciła głowę, czując, że się czerwieni. Nie miała nic na swoje usprawiedliwienie. Kłamać dłużej nie mogła, a prawdy powiedzieć nie chciała.

- Czekam na wyjaśnienia, Betsabo.

Ton jego głosu wskazywał, że nie zamierza czekać zbyt długo. Zebrała się na odwagę i z powrotem zwróciła w jego stronę twarz.

- Wydawało mi się, że tak będzie lepiej.

Jego wzrok powiedział jej, że się myliła i wtedy, i teraz.

- To się może wydać mało przekonujące, ale naprawdę nie zrobiłam tego specjalnie. Najpierw nie dopuściłeś mnie do głosu, a potem... wszystko zaczęło toczyć się samo... jak lawina. Nie mogłam zaprzeczyć, nie chciałam. Myślałam, że... Zresztą to nie było aż tak ważne.

- Wydawało ci się, że tak będzie lepiej - powtórzył jak echo. - Wydawało ci się, że to nie jest aż tak ważne...

Powiedział to cicho i spokojnie, jakby nagle całe jego napięcie i zdenerwowanie gdzieś się ulotniło. Spojrzała na niego zdziwiona, lecz w dalszym ciągu niespokojna. W oczach Dominika nadal była czujność drapieżnika śledzącego ofiarę.

- Nie powiedzieliśmy sobie jeszcze wszystkiego - rzekł, ważąc każde słowo - ale sądzę, że to nie jest najwłaściwszy moment na dalszą rozmowę.

Odetchnęła z ulgą; zauważył to i dodał:

- Mam nadzieję, że docenisz moją szlachetność i fakt, że o nic więcej nie pytam. Jesteś zdenerwowana i roztrzęsiona, i nie chciałbym wykorzystywać twojego stanu. Dlatego zostawiam cię teraz samą, żebyś mogła spokojnie dojść do siebie. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zadzwoń, będę w swoim gabinecie.

Nie mogła uwierzyć w podobną wspaniałomyślność. Dominik znowu ją zaskoczył.

- Poczekaj chwilę - powiedziała pośpiesznie - zaraz doprowadzę się do porządku i wrócę z tobą do pracy. - Dotknęła ręką twarzy; tusz na pewno się rozmazał, szminka rozpuściła.

- Jedna chwila nie wystarczy, żeby wszystko naprawić, Betsabo. - Dominik znowu był sobą. - Wyglądasz jak czerwona małpka kapucynka, możesz mi wierzyć. Czeka cię sporo roboty, żeby to wszystko doprowadzić do porządku.

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Już miała się odwrócić, wstać i odejść, kiedy silnie chwycił przegub jej dłoni i zmusił do pozostania. Drugą dłonią zwrócił jej twarz w swoją stronę.

- Ty nawet z tuszem na policzkach wyglądasz ładnie - oznajmił i w jego głosie zabrzmiała szczerłość. - I z tym czerwonym noskiem też - dodał i pocałował czubek jej nosa.

Poczuła, że kolana ma jak z waty.

- Nie musisz wracać do pracy, twoja nieobecność jest usprawiedliwiona. Zresztą ludzie nie powinni cię widzieć w takim stanie. Jeszcze sobie pomyślą, że cię pobiłem, chociaż, swoją drogą, zasłużyłaś sobie na lanie.

Prawie nie słyszała, co do niej mówi, zajęta obmyślaniami tego, co ma zrobić, żeby uniknąć najgorszego. Siedziała oszołomiona, próbując opanować drżenie ciała i gonitwę myśli, kiedy dobiegł ją dźwięk zamykanych drzwi. Nawet nie zauważyła, kiedy Dominik wstał.

Na nikogo nie czekała, ale nie mogła znaleźć sobie miejsca. Krążyła z kąta w kąt, bezmyślnie przestawiając przedmioty i raz po raz coś upuszczając. Wypiła już tyle kubków kawy, że nie mogła mieć złudzeń, że to coś pomoże. Z niesmakiem odstawiła ostatni i z niechęcią spojrzała na ciemny płyn, który go wypełniał, próbując się skoncentrować.

Co się z nią dzieje? Skąd ten niepokój? Przecież wiadomości ze szpitala są dobre: Robert czuje się lepiej, wszystko wraca do normy. Dlaczego tak się zachowuje?

Dźwięk dzwonka przerwał ciszę jak alarm. Drgnęła, kawa wylała się na blat. Nawet nie zauważyła, kiedy znów wzięła do ręki kubek.

Wyszła do przedpokoju, po drodze poprawiając włosy. Wiedziała już, na kogo podświadomie czeka: wiedziała, że Dominik wróci. Serce waliło jej, umysł próbował oszukać przeczucia: może to Cassie, a może któryś z sąsiadów... Była tak potwornie zdenerwowana, że na widok Dominika stojącego w progu omal nie wydała westchnienia ulgi, że niepewność minęła.

- Witaj - powiedział i lekko pocałował ją w usta. Poczula, że wciska jej w dłonie bukiet róż. Czerwonych, długich róż. - Czuję zapach świeżej kawy.

Wszedł do kuchni, zostawiając osłupiałą Beth na progu, stojącą w otwartych ciągle drzwiach.

Z wysiłkiem je zamknęła i poszła za nim. Całe popołudnie marzyła o tym, by przyszedł, a teraz nie mogła przemówić słowa. Poczula ból w dłoni, w której ścisnęła bukiet. Otrzeźwiło ją to. Przyniósł jej róże, ale róże mają kolce; nie powinna o tym zapominać.

A przede wszystkim nie powinna mu pozwolić na takie zachowanie. Zachowuje się w jej mieszkaniu jak u siebie w domu, wchodzi do kuchni, przyrządza kawę, jakby to on był tutaj gospodarzem...

Wszedł właśnie z dwoma kubkami kawy do salonu.

- Włóż kwiaty do wody - powiedział - i wróć tutaj. Musimy porozmawiać.

Porozmawiać, porozmawiać... Znała te słowa na pamięć. Stale chciał z nią rozmawiać, zupełnie jakby miała mu coś do powiedzenia. Najwyższy czas skończyć z tymi rozmowami.

Kim on jest, żeby jej mówić, co ma robić? I to w jej własnym mieszkaniu! Poczula zapach róż i musiała przyznać mu rację. Kwiaty trzeba wstawić do wody; one nic nie zawiniły.

Długo układała róże w wysokim kryształowym wazonie, chcąc zyskać na czasie i nieco odwlec kolejną „rozmowę”. Były piękne i żadne układanie nie było im potrzebne. Po dziesięciu minutach, jakie nad nimi spędziła, wyglądały dokładnie tak samo, jak w chwili, kiedy je wkładała do wazonu.

Dominik cierpliwie czekał. Nie wiedziała, jak to rozumieć; siedział na kanapie z kubkiem kawy, swobodny i rozluźniony. Widywała go już na tej kanapie w takiej pozycji i wiedziała, że nie wróży to nic dobrego.

- Chodź do mnie.

Chciała usiąść w fotelu naprzeciw niego, ale objął ją i mimo oporu posadził na kanapie obok siebie. Nie wypuszczając jej z objęć, pochylił się i delikatnie pocałował ją za uchem.

- Teraz, kiedy nie musimy już myśleć o Robercie - szepnął - możemy spokojnie skoncentrować się na nas.

- Na... nas?

Próbowała wyprostować się i odsunąć, ale był silniejszy. Poczula na szyi jego oddech. Drgnęła.

- Zimno ci?

Spojrzała w jego ciemne oczy. Widać w nich było, że doskonale rozumie powód jej drżenia.

- Ja...

- Tak?

Nie miała nic do powiedzenia, był zbyt blisko.

- Co chciałaś powiedzieć?

- Nic - szepnęła.

Odsunął ją lekko i spojrział na nią z uśmiechem. W jego twarzy było coś, czego nie potrafiła określić i fakt, że nie rozumie jej wyrazu, przywołał ją do porządku. Odepchnęła go i tym razem nie natrafiła na opór.

- Mówiłeś, że chcesz ze mną porozmawiać - powiedziała.

- Zmieniłem zdanie.

- Dlaczego?

Głupie pytanie, pomyślała.

- Wolę się z tobą kochać - odparł bez wahania. Przywołała na pomoc cały swój rozsądek i nieśmiałość. Bezpośredniość Dominika wprowadziła ją w popłoch.

- Ale...

- Ale co?

Pocałował ją znowu i pytająco spojrział w oczy.

- Mieliśmy... przecież - z trudem wymawiała słowa, starając się unikać jego pocałunków - mieliśmy... porozmawiać... o nas... - dokończyła cicho.

Spowaźniał i przestał ją całować.

- O nas? - powtórzył. - Tak, myślę, że teraz, kiedy nie ma już Roberta, możemy porozmawiać o nas. - Spojrział na nią pytająco. - A ty jak myślisz?

- Tak - odparła, czując, że wątpliwości gdzieś się rozwiewają. - Tak, teraz możemy już mówić o nas.

Znowu zaczął ją całować; nawet nie zauważyła, kiedy ją rozebrał. Tak bardzo chciała się z nim kochać, pragnęła go tak bardzo, jak on pragnął jej, tak długo na to czekała...

Nagle myśl o Marianne przeszła ją jak błyskawica. Jak mogła tak całkiem o niej zapomnieć? Jak mogła zapomnieć, że w życiu Dominika jest inna kobieta? Piękna, cudowna i mądra Marianne!

Zesztywniała, i Dominik to poczuł.

- Co się stało, kochanie? Nie zrobię ci nic złego...

Nie dopuszczała do siebie jego słów, zamknęła się na nie, chciała być głucha na ich sens. Jej myślami zawładnęła tamta kobieta, kobieta, o której nawet nie wspomniał, jakby jej istnienie było oczywistością, z którą ona, Beth, musi się pogodzić. Nie chciała się godzić z taką oczywistością, z nikim nie będzie się nim dzielić...

W głosie Dominika słyszała teraz chłód, obojętność i wyrachowanie. Chciała się spod niego wysunąć, ale uwięził jej nogi w swoich. Dopiero po chwili jego uścisk zelżał i mogła usiąść. Zmusił ją, żeby spojrzała mu w oczy.

- Co się stało, Beth? Powiedz.

- Nic się nie stało, po prostu nie jestem w formie. Stale myślę o Robercie, przejmuję się jego stanem, nie mogę się uspokoić. Nie chciałam cię zranić, wierz mi, bardzo cię lubię, ale...

- Lubię! - parsknął. - Bardzo dziękuję, ale jakoś nie mogę w to uwierzyć!

- Proszę... - dodał łagodniejszym tonem i o mało nie pozwoliła objąć się znowu - proszę cię...

- Nie mogę - powiedziała. - Przepraszam cię, ale nie mogę. Czuję, że coś w niej umiera, ale nie była w stanie postąpić inaczej.

- Przepraszam - powtórzyła.

Kiedy wyszedł, usiadła i napisała podanie o zwolnienie z pracy. Wróciła do biura i - bojąc się spotkać Dominika - położyła podanie na jego biurku, decydującą rozmowę odkładając na następny dzień. Opuszczała właśnie gabinet, kiedy w progu ujrzała kobiecą postać. Oczy miała pełne łez i dlatego jej nie poznała.

- Beth, co się stało? Co ci jest? Rozpoznała głos Marianne.

- Nic - wykrztusiła, ledwo wydobywając z siebie głos.

- Przecież widzę, w jakim jesteś stanie. Coś złego się stało z twoim chrześniakiem?

Nawet i o tym wie! Dominik mówi jej wszystko! Co jeszcze jej opowiedział? Beth pokręciła przecząco głową.

- Nie, z Robertem wszystko w porządku. Marianne spojrzała na nią pytająco.

- W takim razie powiedz, jakie głupstwo zrobił znowu ten mój braciszek?

- zapytała z tłumionym gniewem w głosie.

- Twój... braciszek...? - Głos uwiązał jej w gardle; utkwiała w Marianne zdumione spojrzenie. - Twój brat?

- No, Dominik - powtórzyła niecierpliwie Marianne. - Co ci znowu zrobił? Zawsze coś narozrabia. Mówiłam mu wczoraj, żeby już nigdy... - Spojrzała na nią i widząc zdumienie Beth, dodała nieco łagodniej: - Chyba wiedziałas, że jest moim bratem, prawda?

Beth odwróciła się, odepchnęła ją i wybiegła.

Nigdy nie można złapać taksówki, kiedy jest człowiekowi najbardziej potrzebna! Przez kilka minut Beth siedziała w samochodzie, płacząc i próbując zebrać myśli. Kiedy ostatecznie stwierdziła, że nie jest w stanie prowadzić, wysiadła i zaczęła szukać taksówki. Kiedy wreszcie udało jej się to i dojechała pod dom, nie zdążyła nawet wyjąć pieniędzy, by zapłacić kierowcy. Ktoś otworzył drzwiczki i jakaś silna dłoń nieomal wyciągnęła ją na chodnik.

Dominik bez słowa zapłacił taksówkarzowi. Był spokojny i opanowany, ale w jego ruchach była jakaś dziwna determinacja. Ujął ją pod rękę, jakby się bał, że mu ucieknie, i poprowadził w stronę domu. Beth nie czuła się na siłach, by protestować; czuła się jak bezwolny manekin. I jak manekin dała się poprowadzić na górę; pozwoliła, by Dominik wyjął z jej torebki klucze i otworzył drzwi. Nie zastanawiała się nad tym, co oznacza jego obecność. Automatycznie skierowała się w stronę salonu, ale Dominik ją powstrzymał.

- Nie, tylko nie tam. Ten pokój przynosi nieszczęście. Kiedy tylko zaczynam tam z tobą rozmawiać, dzieje się coś złego.

- To gdzie? - Beth zerknęła na uchylone drzwi do sypialni. Tylko nie tam...

- Tutaj.

Lekko popchnął ją w stronę kuchni i posadził na krześle. Poczula się nieco lepiej. Może jest jeszcze jakaś szansa...

- Jak zwykle napijemy się kawy - powiedział - a potem porozmawiamy. I tym razem wyjaśnimy sobie wszystko do końca.

Poczula, jak serce podchodzi jej do gardła.

- Czy my mamy o czym mówić? Przeczesał dłonią włosy.

- Tak. Po moim powrocie ze Stanów wszystko się zmieniło. Nie znalazłem dawnej Beth, jej miejsce zajęła jakaś nowa, nie znana mi, obca osoba.

- Obca?

Nie tego oczekiwała i jego słowa wzbudziły jej zainteresowanie.

Zrozumiała, że tym razem może w końcu poznać całą prawdę. Pamiętała swoje rozmowy z Cassie i Morven, i to, co zawsze jej powtarzały: zmiany, jakie zaszły w jej wyglądzie i osobowości, musiały go zdumieć i sprawić, że stracił grunt pod nogami. Jego dziwne zachowanie spowodowane było nieumiejętnością dostosowania się do sytuacji, która go przerosła.

Zrobił kawę i usiadł na krześle naprzeciw Beth. Wydawał się nieco speszony i widać było, że nie wie, od czego zacząć.

- Powiedziałeś... - zaczęła, ale jej przerwał:

- Wiem, wiem... To wszystko moja wina, ale byłem wstrząśnięty, kiedy cię zobaczyłem, te wszystkie zmiany, ta cała twoja... metamorfoza. Przez całą podróż bardzo za tobą tęskniłem i nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie cię zobaczę. Postanowiłem wszystko ci powiedzieć, wszystko sobie ułożyłem.

- Nie wierzę. - Odsunęła się od stołu i wyprostowała na krześle. - Nie wierzę ci.

Na jego twarzy odmalował się wyraz, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziała. Zmieszanie i coś jakby... nieśmiałość.

- Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale to prawda. Musisz zrozumieć, że byłem tobą bardzo zainteresowany, i zamierzałem ci o tym powiedzieć.

Oczywiście, nie chciałem zbytnio się angażować, ale wiedziałem, że nigdy nie

zgodzisz się na przelotny romans. Kiedy sobie to uświadomiłem, zrozumiałem, że mnie również chodzi o coś innego, bardziej trwałego... Wtedy jeszcze nie myślałem o małżeństwie, nie byłem gotów.

Zaczynała coś pojmować.

- Byłeś zdumiony, że możesz czuć coś takiego w stosunku do kogoś takiego jak ja, ta dawna ja, prawda?

Wcale nie przytaknął, lecz wyraźnie się obruszył.

- Nic podobnego! Chyba siebie nie doceniałaś. Może teraz robisz wrażenie osoby bardziej wymagającej i wyrafinowanej, może jesteś lepiej ubrana i bardziej umalowana, ale dawna Beth miała w sobie coś... miała wdzięk i prostotę, spokój i... nie wiem, jak to nazwać, ale to właśnie było cudowne. To coś więcej niż makijaż i świetnie uszyty kostium.

- Nie podoba ci się...

Znowu nie dopuścił jej do głosu, tak jakby postanowił tym razem powiedzieć już wszystko.

- Teraz też jesteś cudowna, Betsabo. Chciałem ci jedynie powiedzieć, że w poprzednim wcieleniu było równie dobrze. Wiem, że nie możesz się cofnąć i wrócić do dawnej Beth, zresztą nigdy bym cię do tego nie namawiał, ale... Chcę tylko, żebyś wiedziała, że nie musisz tak wyglądać, nie masz takiego obowiązku, ja i tak...

- Myślałam... próbowałam...

- Wiem. - Ujął jej rękę i nie pozwolił, by ją odsunęła. - Beth, zakochałem się w tobie już dawno, ale sam o tym nie wiedziałem. To nie zmiany, jakie w tobie zaszły, uświadomiły mi ten fakt, to twoja obecność, twój głos i spojrzenie. Kiedy Helena powiedziała, że zmieniłaś się dla mnie... Naprawdę zrobiłaś to wszystko ze względu na mnie?

W jego głosie zabrzmiała niepewność i lęk. Lekko uścisnęła jego rękę.

- Do pewnego stopnia - odparła. - Tak, zrobiłam to również dla ciebie, ale przede wszystkim dla siebie. Sam wiesz, jak się do mnie odnosiłeś;

postanowiłam, że już nikt nigdy nie będzie mnie traktować w taki sposób. Sama ci na to pozwalałam, wiem. - Uśmiechnęła się smutno. - Sama nie wiem, kiedy i dlaczego to się stało, ale nagle zrozumiałam, że dłużej tego nie wytrzymam.

Zrozumiałam, że muszę być sobą.

- Byłaś przecież...

- Tak, byłam spokojna, opanowana, czasem nawet się uśmiechałam, ale przede wszystkim byłam... ofiarą losu, bezwolną i pokorną.

- Ale byłaś taka...

- Jeśli powiesz „kobieca”, to cię kopnę!

Czuła się silna i pewna siebie; wiedziała już, że wszystko będzie dobrze i nagle przestała się bać. Zrozumiała, że koniec tej rozmowy może być tylko jeden, bez względu na to, co sobie powiedzą i jak dalej będzie przebiegała.

- Nie odrzucaj tego tak, Beth. Kobiecość to nie tylko słabość, to także wielka siła.

- Wiem, znam ją. - Znowu wyprostowała się i wysunęła dłoń z jego ręki. - Wiem - powtórzyła.

- Kiedy zobaczyłem na biurku to twoje podanie... pomyślałem, że wszystko skończone. Przestraszyłem się, bałem, że straciłem cię na zawsze. Dopiero Marianne... Moja siostra, Marianne... - Wstał i objął ją.

Przytuliła się do niego, bezpieczna i szczęśliwa.

- Jak mogłaś myśleć inaczej, przecież Marianne jest moją siostrą.

- Nie wiedziałam. Skąd mogłam wiedzieć?

- Zawsze tylko mnie odpychałaś, o nic nie pytałaś. Dlaczego? Mogłaś przecież mnie zapytać.

- Nie chciałam usłyszeć odpowiedzi. Bałam się, że usłyszę, że ci na niej zależy, a ja... to tylko tak... na boku.

- To niemożliwe, wiesz przecież. - Pocałował ją w usta i oddał mu pocałunek. - A ja myślałem, że tobie zależy tylko na Robercie...

Już miała coś powiedzieć, kiedy pocałował ją znowu.

- Kocham cię, Betsabo...

- Ja cię też kocham. Kocham cię od dawna.

Przez następne kilka minut nie padło ani jedno słowo.

- Czy wyjdiesz za mnie? - zapytał potem. Pocałował ją znowu. - Nigdy nie wyjaśniłaś mi do końca, dlaczego nie chcesz tego zrobić. Teraz chyba nie masz już argumentów. Przecież mnie kochasz. Nawet nie wiesz, co czułem, kiedy powiedziałaś, że moja miłość nie wystarczy.

- Nigdy czegoś podobnego nie mówiłam!

- Oczywiście, że mówiłaś.

Skrzywił się, jakby na przypomnienie dawnego bólu.

- Kiedy? Jak?

Przecież nie zwariowała, pamiętałaby coś podobnego! Gdyby już kiedyś wspomniał, że ją kocha, zapamiętałaby to do końca życia!

- Nie pamiętasz? Kiedy cię po raz pierwszy zapytałem, czy wyszłabyś za mnie za męża, powiedziałaś, że w małżeństwie najważniejsza jest miłość, a kiedy jej nie ma, o małżeństwie nie może być mowy. Zrozumiałem wtedy, że mnie nie kochasz i że nigdy za mnie nie wyjdiesz.

- Ale przecież ani słowem nie wspomniałaś, że...

- Z taką pewnością siebie powiedziałaś, że miłość jednej strony nie wystarczy, że nie mogłem mieć nadziei, że kiedykolwiek zmienisz zdanie.

- Nie - szepnęła - to nie tak...

- Tak...

- Nie. Chodzi mi nie o to, tylko... - Lekko odsunęła go od siebie. Musi mu to wytłumaczyć, teraz, zanim... - Chcę ci coś wyjaśnić.

- Co mi chcesz wyjaśnić, Beth?

- Wtedy wcale nie chciałam powiedzieć, że twoja miłość nie wystarczy. Ja nie rozumiałam, co miałeś na myśli.

- A co rozumiałaś?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem i pomyślała, że rzeczywiście mógł tamtą rozmowę zrozumieć zupełnie inaczej niż ona. Wszystko, co dotąd mówili i robili, było niejasne i zagmatwane.

- Jak rozumiałaś moje słowa? - powtórzył.

- Myślałam, że wiesz, że cię Kocham, i że to ja mam być tą jedną stroną, która...

- Kochałaś mnie? Już wtedy? - Wcale nie udawał, był naprawdę zaskoczony. - Kochałaś mnie? A ja myślałem... Nigdy po sobie nie pokazałaś, że... O Boże, ile my czasu straciliśmy!

- Ja też niczego nie rozumiałam. Pomyślałam sobie, że skoro ty nigdy mnie nie pokochasz, moja miłość nie wystarczy i nasz związek nie ma najmniejszego sensu.

- Tylko dlatego dałaś mi kosza? Beth skinęła głową.

- Tak. Tylko dlatego. Pomyślałam, że ty...

Przerwał jej.

- Nic nie mów. Nie chcę słyszeć nic więcej. Myślałaś o mnie same straszne rzeczy. Ale teraz wszystko się zmieni!

Wtuliła się w jego ramiona i lekko musnęła wargami jego usta.

- Mam nadzieję.

- Jeszcze mi nie odpowiedziałaś na pytanie.

Beth przywołała na pomoc całą swą wiedzę o zachowaniu asertywnym i sztuce mówienia „nie”. Dotyczyło to ściśle określonych sytuacji, a ta do nich nie należała. W takiej sytuacji wszystkie szkoły psychologiczne zalecały mówienie „tak”. To też wymagało nie lada odwagi. Pomyślała, czym byłoby życie bez Dominika, i czym prędzej porzuciła wszelkie teoretyczne rozważania. Odpowiedź była tylko jedna.

- Tak.

- Mam wrażenie - powiedział i powoli wstał, nie wypuszczając jej z objęć - że kuchnia zrobiła już swoje i pozwoliła przełamać złą passę, jaka

prześladowała nas w salonie. Teraz najwyższy czas znowu zmienić pomieszczenie. Co byś powiedziała, gdybym cię zaprowadził do sypialni? Moglibyśmy tam pobycć długo i bez przeszkód. Nareszcie.

Skierował się w stronę drzwi, ale nagle przystanął.

- Nie słyszę odpowiedzi. Znowu zrobiłem coś nie tak? Masz coś przeciwko temu?

Nadszedł właściwy moment, by powiedzieć „nie”. Beth uśmiechnęła się, spokojna i szczęśliwa.

- Nie - powiedziała.



RS